czas. 11049/52/13-14

ROK ZAŁOŻENIA 1933 (XXXII) LUBLIN 16.VII—15.VIII.1965 Nr 13—14 (323—324) CENA 2 ZŁ

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok — Kielce — Lublin — Rzeszów

ZYGMUNT MIKULSKI

SZTAMBUCH obok historii

Obok konfrontacji i stwierdzeń oficjalnych refleksja „ściśle prywatna": to już dwadzieścia jeden lat! Nieodwołalny sztambuch. Tamto „było" traci już kontakt z dzisiejszym „jest", zyskuje zdecydowaną autonomię na obszarze czasu. Ale wciąż o ile przenikliwsze dla pamięci! Na przykład. Co było siedem lat temu? Zaraz, zaraz... A co dwadzieścia jeden? No przecież to słońce, bluzy na wypust, wiśnie w żołnierskich hełmach...

SŁOŃCE, bluzy, wiśnie. Mechanika pamięci zdziałała, że już na zawsze znalazły się w kontekście mojego wyzwolenia. Jakby oprócz czerwonej armii czerwony owoc przyczynił się do tego, że któregoś dnia obleciał ze mnie strach przed SS i gestapo. A czy pamiętacie — te w dosłownym znaczeniu — pierwsze kroki na wolności? Jeśli chodzi o moje, to były... chwiejne. Chwiejne z oszołomienia i chwiejne z dezorientacji, jaką zwykle wywołuje nagłość. W rezultacie zauważyłem... pszczołę, która uwikłana w deszczową pozostałość na kielichu pracowała nad swoim wyzwoleniem. I ta weszła w skład moich rzeczy pamiętnych.

Dezorientacja nagłością? Tak. Bo choć radziecka ofensywa nie była słodką tajemnicą Oberkommando der Wehrmacht, choć front od tygodnia istniał bezpośrednio w uchu, TO stało się nagle. Bywają zdarzenia, którym zapowiedź nie odbiera charakteru niespodzianki. Wszystko, co zawisło podkutą, kolczastą, szczekającą grozą nad latami 1939—44, wszystkie te „halty" i „händehochy", cała przerażająca p o w s z e d n i o ś ć tragedii znika od jednego razu. Jak to jest możliwe? Tak, że człowiek po raz drugi się rodzi.

Pierwszy dzień bez Niemców. To po doświadczeniach pięciu lat istny nadrealizm. Wciąż nie chce się wierzyć, że jednak za chwilę n i e wyskoczy czarno umundurowany oddział, by otoczyć dzielnicę, która już wyłamała się spod władztwa Tysiącletniej Rzeszy.

Pierwsze słońce, pierwsze drzewa, pierwszy ptak bez Niemców. W nocy padał deszcz, jakaś kropla dotychczas nie dosięgła ziemi schodzi po piętrach liści. Sam na sam z naturą. A jednak jest wieczna...

• • •

W samym środku Lublina ustępująca wojna zostawiła cały swój nieporządek: poplątane druty, rozkopany bruk, rozbite szkło, podarte papiery. Wszystko to obsiane różnego kalibru amunicją, minami, panzerfaustami. Tu i tam spalony czołg, czasem z lufą w sklepowej wystawie. Jezdnia, chodnik, plac — bez różnic. Wszystko jednakowo zryte, jednakowo sypiące miałkim pyłem pod nogi pospiesznie przepływającej masy ludzkiej. Dokąd? Po co? Żadnych pytań. Idzie się po prostu, bo tego „wymaga" dziejowa chwila. Jakżeby! Lublin wolny i siedzieć w domu? Od rana do wieczora ten nieustanny przepływ, to niezmordowane rojowisko ludzi. Fabryki i biura puste, opustoszały też domy, ulica jedynym w mieście ośrodkiem życia. Jest tak ciasno, że

(Dokończenie na str. 3)

18 STRON!

w numerze m. in.

Mieczysław Martyn
Niełatwe zadania
Michał Skalenajdo
Moje lipce
Stefan Wolski
Spiskowcy
Bohdan Królikowski
Dziedzictwo pana Hieronima
Krzysztof Wolicki
Każdy histeryzuje w samotności
a także specjalny dodatek
Ziemia i Pieśń

Ireneusz J. Kamiński

FSC zaufanie i wdzięczność

9 lipca br. załoga lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych otrzymała sztandar przechodni Prezesa Rady Ministrów i CRZZ za najlepsze wyniki osiągnięte w międzyzakładowym współzawodnictwie pracy w okresie IV kwartału 1964 r. i I kwartału 1965 r. wśród fabryk przemysłu ciężkiego; w ciągu ostatnich dwóch lat zakład otrzymuje to wyróżnienie po raz drugi.

Zaintrygowany kolejnym sukcesem wybrałem się na wschodnio-południowy kraniec miasta, aby zobaczyć, porozmawiać, chociaż w części dotrzeć do źródeł. Po przekroczeniu bramy stanąłem przed widokiem, który w niewielkim tylko stopniu przypominał wielką fabrykę, jedynie wysoki stożek chłodni kominowej zamykający perspektywę fabrycznej ulicy podpowiadał, ile tu się zużywa energii elektrycznej i cieplnej. Na lewo od wejścia, naprzeciw budynku dyrekcji, zieleniło się dobre kilkadziesiąt arów lucerny, zza której przebijał błękit niewielkiej sadzawki. Wśród krzewów coś zaszeleściło i... przetarłem oczy na widok stadka bażantów. Stałem zdziwiony na ulicy wysadzonej szpalerem młodych topól, które kołysały się jeszcze daleko na horyzoncie. Wszędzie czysto, schludnie, porządnie. Poszedłem w kierunku pobliskiego biurowca.

Sekretarka dyrektora FSC, Gustawa Krupy, bezradnie rozłożyła ręce: *„Niestety, jest na naradzie, nie wiem, ile to potrwa"*. Jutro?... *„Jutro od rana na plenum Komitetu Wojewódzkiego, a pojutrze wręczenie sztandaru..."* I tak dalej, i tak dalej, aż w końcu po kilku telefonach zostałem oddany pod opiekę jednego z pracowników, który pokazał mi część zakładu i umożliwił rozmowy z ludźmi.

Dwa dni chodziłem po fabryce, przeglądałem wykresy, rozmawiałem z ludźmi, zapoznawałem się z dniem dzisiejszym zakładu produkującego znane samochody dostawcze „Żuki" oraz całą masę dużych części i drobnych elementów do *„Warszaw"*, *„Starów"*, *„Sanów"*, dla całego przemysłu motoryzacyjnego w Polsce.

Warto więc chyba przypomnieć, że początkowo, tj. w 1950 r. zamierzano uruchomić w Lublinie jedynie montażownię samochodów radzieckich *„GAZ-51"*. Już jednak w grudniu tego roku powzięto decyzję budowy samodzielnej fabryki samochodów marki *„Lublin"*, opartych na licencji wspomnianego wozu radzieckiego. Pierwszy *„Lublin"* opuścił taśmę montażową w r. 1951, w 34 rocznicę Rewolucji Październikowej. W latach 1956/57 konstruktorzy zakładu zaczęli realizować swoje pomysły wychodząc od prostych przeróbek samochodu (*„Lublin"* z kabiną *„Stara"*, na *„Lublinie"* wóz strażacki), aż w roku 1958 całkowicie polski *„Żuk"* wyjechał w próbną podróż po kraju. Wielki wówczas popyt na samochody tego typu stał się przyczyną podjęcia produkcji seryjnej już w roku 1959; wtedy też opuścił bramy fabryki ostatni *„Lublin"*.

Inżynier Tański, który przypomniał mi te fakty, jest jednym z konstruktorów *„Żuka"*; oprócz niego pracowali nad projektem trzej inni inżynierowie — Leonkiewicz, Kamiński, Szymanek. W ostatnim kwartale bieżącego roku zejdzie z taśmy FSC nowy typ oparty na *„Żuku"*, furgonetka *A-05*, funkcjonalny i ładny samochód dostawczy, którego ostatni prototyp dociera się właśnie na szosie. Obecnie fabryka jest dużym i nowocześnie wyposażonym zakładem produkcyjnym, oprócz *„Żuków"* dającym wiele innych wyrobów potrzebnych dla polskiego przemysłu motoryzacyjnego. A przecież cały „ruch w interesie" zaczął się od jednej właściwie hali, która przed rokiem 1939 należała do spółki Lilpopp-Rau i Lewenstein.

Dziś fabryka należy do przodujących w kraju, ale trzeba przypomnieć, że w poprzednich latach nie cieszyła się zbyt dobrą opinią. Dyrektorzy zmie-

(Dokończenie na str. 7)

MIECZYSŁAW MARTYN — Przewodniczący Prezydium MRN W Lublinie

Niełatwe zadania

22 Lipca, tradycyjnym zwyczajem, dokonujemy przeglądu naszych osiągnięć, zastanawiamy się, co należy uczynić, aby pomnożyć sukcesy. Tegoroczne Święto Odrodzenia przypada w szczególnych okolicznościach: niecałe dwa miesiące temu odbyły się wybory do Sejmu i rad narodowych. W czasie kampanii przedwyborczej mogliśmy szerzej spojrzeć na przebytą drogę, ocenić realizację Programu Wyborczego MK FJN, podczas wielu spotkań z różnymi środowiskami — w szczerej rozmowie omówić czekające nas zadania.

STARA to prawda, że tylko wspólnymi siłami jesteśmy w stanie zmienić oblicze naszego miasta, mającego tak chlubne tradycje. Mam tutaj na myśli to, co przywykliśmy określać, jako czyny społeczne. W czasie poprzedniej kadencji MRN praca społeczna obywateli na rzecz miasta przybrała nie spotykane dotychczas rozmiary. Jeśli wartość tych czynów można przeliczyć na złotówki, wyraża się to niebagatelną kwotą 150 milionów złotych, z czego prawie 50 milionów zł przypada na rok XX-lecia PRL i IV Zjazdu PZPR. Ponad 240 mieszkańców Lublina otrzymało odznakę „Za czyny społeczne"; w tym było 118 odznak złotych za przepracowanie więcej niż 80 godzin na rzecz miasta.

Miejska Rada Narodowa ściśle współdziałała z Miejskim Komitetem Frontu Jedności Narodu, z instancjami partyjnymi — PZPR, ZSL i SD, starając się rozwiązywać nabrzmiałe problemy stolicy Lubelszczyzny. Wspólne sesje MRN z MK FJN w sprawie przygotowań do XX-lecia PRL oraz konferencje aktywu miejskiego organizacji politycznych zajmujące się m. in. taką problematyką, jak potanienie kosztów budownictwa mieszkaniowego czy upowszechnienie kultury mogły stworzyć platformę, na której szeroko rozwinęła się inicjatywa społeczna. Podjęte w tych sprawach uchwały międzypartyjne stanowią długofalowy program działania.

Starając się o pogłębienie więzi z wyborcami, z poszczególnymi zakładami pracy, zainicjowaliśmy sesje wyjazdowe MRN w poszczególnych dzielnicach miasta. W toku wymiany poglądów wyłoniła się konieczność opracowania kompleksowych planów budowy i rozbudowy urządzeń komunalnych w danych dzielnicach, uwzględniających potrzeby poszczególnych jednostek gospodarczych, które ze swej strony świadczyłyby pewną pomoc finansową na rzecz miasta. Uchwały nie pozostały na papierze: w ciągu czterech lat przedsiębiorstwa i spółdzielnie przekazały do budżetu miasta ponad 50 milionów złotych partycypując w kosztach budowy urządzeń komunalnych.

Miejska Rada Narodowa przywiązuje dużą wagę do roli ośrodka akademickiego w życiu miasta. Dlatego też jedna z sesji MRN odbyła się w dzielnicy uniwersyteckiej. Uczestniczyło w niej wielu pracowników nauki. Sesja bardzo pozytywnie oceniła dorobek lubelskiego ośrodka naukowego i jego wpływ na życie gospodarcze, kulturalne i społeczne miasta. Sesja nakreśliła ramy współpracy MRN i jej organów z wyższymi uczelniami zarówno w zakresie wykorzystania ich potencjału naukowego w rozwiązywaniu technicznych i ekonomicznych problemów Lublina, jak i naukowego opracowania zagadnień istotnych dla gospodarki miejskiej. Przedstawiciele świata nauki zostali włączeni do prac w ramach MKPG, zespołów ekspertów, komisji usprawnień Prez. MRN i poszczególnych komisji Rady. Dziś możemy już mówić o wielkiej pomocy, z jaką spotykamy się ze strony naszych naukowców.

Niezależnie od sesji wyjazdowych MRN odbyło się wiele posiedzeń Prez. MRN w poszczególnych dzielnicach miasta. Ich celem było omówienie problemów nurtujących mieszkańców tych dzielnic, zapoznanie się z potrzebami i rozważenie możliwości ich zaspokojenia.

Aby obraz był pełniejszy, trzeba jeszcze wspomnieć o wyjazdowych posiedzeniach poszczególnych komisji MRN. W sumie pogłębiła się łączność z wyborcami, władza zbliżyła się do mieszkańców, których udział w zarządzaniu miastem znacznie się rozszerzył.

Bogatsza stała się również sama problematyka obrad sesji czy Prezydium MRN. Zajęliśmy się np. tak ważnym problemem, jak gospodarka wodna w Lublinie. W naszych dyskusjach oparliśmy się o opracowaną przez Przedsiębiorstwo Hydrogeologiczne we Wrocławiu dokumentację hydrogeologiczną o zasobach wód podziemnych w Lublinie, a także o bilans wodny przygotowany przez WSR w Lublinie. Poruszone na sesji zagadnienia znalazły odzwierciedlenie w podjętej uchwale, w której wskazaliśmy na konkretny sposób etapowych rozwiązań do 1980 roku. Stwierdziliśmy potrzebę budowy nowego ujęcia wody, zwróciliśmy uwagę na konieczność wprowadzenia ograniczeń w korzystaniu z wody przeznaczonej do celów pitnych przez zakłady przemysłowe, na renowacje i kapitalne remonty studni głębinowych a wreszcie wypowiedzieliśmy się za budową zbiornika wodnego w Zemborzycach koło Lublina.

Podobnie wnikliwie omówiliśmy na innej sesji sprawy związane z komunikacją miejską, sprawy niebagatelne, zważywszy, iż Lublin ma już ponad 200 tysięcy mieszkańców. Punktem wyjścia naszych rozważań stało się Studium Komunikacyjne opracowane przez Politechnikę Warszawską.

Sesje wyjazdowe, wyrywkowo przytoczone tematy, którymi zajmowaliśmy się w toku poprzedniej kadencji, miały na celu to, o czym już wspomniałem: zbliżenie się do wyborców, rozwiązanie najbardziej palących problemów.

Nie od rzeczy będzie jeszcze wspomnieć, że dołożyliśmy starań w kierunku wyrugowania wszelkich przejawów biurokratyzmu. Zdajemy sobie sprawę — używając tej formy mam na myśli całą MRN — że rozwinięcie aktywności społecznej w dużej mierze zależy od życzliwego, sprawnego i kulturalnego rozpatrywania spraw, z jakimi do swej władzy zwracają się obywatele. Prezydium MRN przeprowadziło szkolenie wszystkich pracowników w zakresie znajomości KPA, ustawy o radach narodowych i prawa państwowego. Duży nacisk położyliśmy na podniesienie kwalifikacji pracowników. 22 pracowników MRN uzupełniło średnie wykształcenie. Dalszych 19 przygotowuje się do matury, 28 — studiuje zaocznie na wyższych uczelniach.

Celem ułatwienia ludności załatwiania spraw **bez odrywania się** od pracy zmieniliśmy godziny urzędowania w poniedziałki. Wszystkie agendy Prez. MRN otwarte są tego dnia do godz. 18.

Artykuł ten piszę z okazji 22 Lipca. Okazja — świąteczna, toteż starałem się zebrać pozytywy, co, oczywiście, nie oznacza, że w naszej pracy wszystko jest już idealne. Ale o brakach, różnego rodzaju trudnościach powiemy sobie w innych okolicznościach. Na razie nowa Rada, wybrana 30 maja, przystąpiła już do pracy. Na 80 radnych mamy tylko 35, którzy piastowali mandat w poprzednich kadencjach. 45 — to radni, którzy po raz pierwszy złożyli ślubowanie. Osobiście cieszę się z tego „odmłodzenia". Zapał z powodzeniem może zastąpić rutynę. Doświadczenie przyjdzie z czasem. Zresztą starsi stażem radni będą pomagać młodszym.

Teraz czekają nas nowe zadania: opracowanie planu 5-letniego, skonkretyzowanie nowej polityki mieszkaniowej, dokonanie bilansu potrzeb i możliwości, a także koordynacja budownictwa spółdzielczego, zakładowego i indywidualnego. Chcemy też zająć się dalszą poprawą pracy miejskich przedsiębiorstw administracji. Robota żmudna, niełatwa. Myślę, że jednak podołamy, że bilans następnej kadencji również będzie bogaty.

Poranek na Krakowskim Przedmieściu — *Fot. M. Targoński*

Przegląd PRASY

CZYTAJĄC uważnie prasę terenową spostrzega się, że poprzez mnogość rozmaitych wypowiedzi publicystycznych przewija się jeden wątek tematyczny, wątek nie przypadkowy, ale istotny, może nawet najważniejszy. To sprawa awansu, aktywizacji, wszystko jedno jak to nazwać. Chodzi o procesy, które stopniowo, ale konsekwentnie przekształcają rzeczywistość, zasypują przepaście między dużymi a małymi ośrodkami, wypełniają żywą treścią białe plamy. Tym ta praca donioślejsza, im odbywa się niżej — we wsi w osadzie.

W podejściu systematycznym i konsekwentnym tych spraw Lubelszczyzna była jedną z pierwszych. Na łamach „TRYBUNY LUDU" **M. Wełna** w artykule pt. *„Zapisano w kronikach"* sumuje czteroletni dorobek społecznego ruchu aktywizacji małych miast. Oto niemal sielankowy obraz, niedawno zupełnie nie do pomyślenia: **„Miasto znane z czystości. Zdobywa czołowe miejsca w konkursach propagujących estetykę, porządek, higienę. Na ulicy razi niedopałek papierosa. Pełno kwiatów, zieleni. Efektowne wystawy sklepowe, miłe i przytulne kawiarnie, nowoczesne restauracje. Biała Podlaska wie, że przepływa przez nią codziennie strumień turystów ciągnących na wschód i w przeciwnym kierunku. Robi wszystko, żeby się podobać".**

Ale Biała Podlaska nie robi tylko na pokaz. Przedmiotem jej dumy jest park 20-lecia i prawdziwy amfiteatr, jedyny w województwie. Może pomieścić on tysiąc ludzi, może w nim występować nawet „Mazowsze", można urządzić tu kino letnie. A wybudowano amfiteatr bez grosza dotacji.

Podobnie wiele czynem społecznym buduje się i gdzie indziej. Autorka przytacza choćby przykład Janowa Podlaskiego. Nie ma potrzeby powtarzać za nią liczb i faktów, chodzi o rzecz ogólniejszą, że społeczny ruch aktywizacji przyniósł dobre owoce: **„Zapał, ofiarność, zamiłowanie do pracy społecznej, dobra wola tysięcy ludzi zrobiły swoje. Kroniki małych miast notują przeobrażenia, jakich nie było przez dziesiątki lat. Biografie zaniedbanych kopciuszków stały się nagle interesującą historią społecznego wysiłku i działania".** Perspektywy tego ruchu są jeszcze jaśniejsze i budzą więcej nadziei.

Ożywieniu gospodarczemu i społecznemu terenu towarzyszy bardziej prężna działalność kulturalna i oświatowa. Uczestniczy w niej wiele placówek i organizacji. Jedno z czołowych miejsc przypada Towarzystwu Wiedzy Powszechnej. Nie przypadkiem TWP zostało tu wspomniane. Obchodzi ono swój jubileusz — istnieje już piętnaście lat. **W. Wójcikowski** publikuje z tej okazji w „KURIERZE LUBELSKIM" *„Komplement dla jubilata"*. Komplement zawiera się zresztą nie w zdawkowych, okolicznościowych formułkach, ale w przypomnieniu i opisaniu ogromnego dorobku lubelskiego TWP. Zaczynało ono od 12 współpracowników i 30 punktów odczytowych, a w bieżącym roku odczytów było już przeszło cztery tysiące i działa 266 uniwersytetów powszechnych. Statystyka nie zawsze stanowi argument rozstrzygający, ale 58 tys. odczytów, 2,7 mln słuchaczy, ok. 80 tys. godzin wykładowych w uniwersytetach powszechnych i 45 tys. stałych słuchaczy — to liczby imponujące, świadczące o wielkim wysiłku organizacyjnym. Efektów nie da się wymierzyć — ale bez tego wkładu pracy sytuacja oświatowa w województwie wyglądałaby inaczej.

Zasługi TWP są tym większe że **„główny kierunek pracy skierowany był na środowiska najbardziej zaniedbane, prelegenci docierali do najbardziej oddalonych miasteczek i wsi".** A czy TWP nie przegrywa dziś w konkurencji z masowymi formami przekazu? Otóż nie. Wójcikowski pisze: **„mimo konkurencji ze strony masowych form przekazu popularność i frekwencja w porównaniu z latami ubiegłymi, systematycznie rośnie. (...) Prelegenci potwierdzają, że radio, prasa, telewizja rozbudza zainteresowania ludzi, którzy z tego względu potrzebują kontaktu z fachowcami różnych specjalności, chcą rozszerzyć i pogłębić swoje wiadomości i upewnić się w ocenie zasłyszanych informacji".**

T. K.

Zygmunt Mikulski

SZTAMBUCH OBOK HISTORII

(Ciąg dalszy ze str. 1)

na większych skrzyżowaniach stoi służba porządkowa dla regulowania ruchu. Jacyś młodzi chłopcy z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. *(Kiedy konfrontuję to wspomnienie z obowiązującymi dziś prawidłami ruchu, doświadczam względności czasu. Czy dobrze się wyraziłem? Chcę powiedzieć, że wspomnienie jest nadzwyczaj żywe, niemal nakłada się na rysunek rzeczywistości, jeśli więc chodzi o niektóre fragmenty miasta, mam jakby do czynienia z dwoma wariantami na raz. Doznanie niemożliwe dla tych, którzy widzą np. PDT przy ul. Osterwy, a nie widzieli gruzów przy ul. Kapucyńskiej).*

W kilka dni po wyzwoleniu pojawia się na murach „Rzeczpospolita". Na murach, ponieważ kolportażu jeszcze nie ma, a zresztą niewielki nakład dziennika w sprzedaży nie spełniby swego zadania. Niewielki też format, wiadomości raczej skąpo. Ale najważniejsza nie wymaga informacji gazetowej. Manifestuje się wprost samym życiem. W nim też — pierwsze oznaki normalizacji: jakaś wywózka śmieci, jakieś przewożenie stołów, jakieś zaciąganie warty przed budynkiem, w którym jeszcze przed momentem można było bezcelowo buszować. Stopniowo zarysowuje się anatomia społecznego organizmu.

„Jesteście poetą? Doskonale. Przejdźcie się po podwórkach i zróbcie kilka notatek na temat marnotrawstwa materiału". To Putrament angażował z miejsca właścicieli lirycznych rękopisów. Czy zapoczątkował kadry młodego dziennikarstwa? Nie było czasu, ani potrzeby, bo jeden Putrament wystarczał za cały zespół redakcyjny. Był sekretarzem „Rzeczypospolitej", współpracownikiem radia i „Odrodzenia", organizatorem Związku Literatów, uczestnikiem wielu dyskusji, a jeszcze wystarczyło go na wypadki samochodowe, jak ten na szosie do Krasnegostawu. Putrament i Borejsza, dwaj najwyżsi wojskową rangą intelektualiści w mundurach nadawali ton ówczesnym organizacyjnym inicjatywom. Pierwszy dbał więcej o impet i ferment, drugi był zwolennikiem — jak się to dziś mówi — „trwałych faktów kulturowych" przyczyniając się wraz z Zofią Dębińską do powstania Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". W konkursie na emblemat „Czytelnika" pierwsze miejsce zajęła Olga Siemaszkowa, ale w użycie wszedł projekt Henryka Tomaszewskiego ten, jaki dziś widzimy: po trzy litery w trzech rzędach. Możliwe, że łatwiejszy dla oka.

Ówczesna plastyka miała prawie wyłącznie dwa działy: satyra polityczna, którą uprawiał Witz i Zaruba, oraz grafika na tematy wojenne, w której celował Aleksander Rafałowski. Grafików było więcej, a wśród nieumundurowanych prym wiedli bracia Mierzejewscy. Ich muzyczny odpowiednik stanowili bracia Harrisowie, z których jeden (imię wyleciało mi z pamięci) był kierownikiem muzycznym Polskiego Radia, dzięki czemu fale eteru i bębenki słuchaczy dość często nawiedzała „Piosenka o mojej Warszawie". Związek do uchwycenia dość łatwy, jeśli się zważy, że Harris był jej autorem. Stefania Grodzieńska — wówczas spikerka — spóźniła się kiedyś do studio i jako powód podała, że idąc co dziesięć minut musiała się chować do bram. Nie przed nalotami. Przed „Piosenką o mojej Warszawie". Od strony własnej satyry Grodzieńska w Lublinie nie dała się poznać. Występowała natomiast jako wykonawczyni na estradzie „Domu Żołnierza", gdzie utworzył się Teatrzyk Małych Form „Tankietka". Grodzieńska z wielkim powodzeniem i przy żywiołowym aplauzie publiczności prezentowała tam monologi, wiersze, cały repertuar kabaretowych form, w których się czuła doskonale wprawiając w zdumienie niezorientowanych widzów, znających ją wyłącznie ze spikerowania w radiu.

W radiu jako kierownik literacki pracował Janusz Minkiewicz. Do tego okresu działalności wybitnego satyryka odnosi się wiele anegdot nie zawsze dających się przytoczyć w druku, podwładni jednak nie mieli danych do stwierdzenia ich autentyczności. Wyrozumiały szef nie ciążył pracownikom swoją obecnością przeznaczając ją do zajęć innego rzędu, jako że biurokracja — tak celnie zresztą przezeń piętnowana w „Stańczyku" — nie była jeszcze masową zdobyczą inteligencji pracującej.

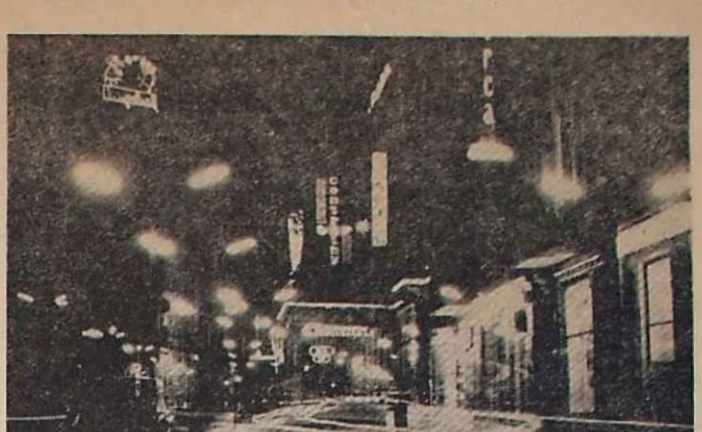

Lublin 1965. Krakowskie Przedmieście nocą *Fot. M. Kramarz*

A „Stańczyk"? Uparł się Leon Pasternak, skoro publicyści i poeci mieli swoje „Odrodzenie", by i satyrykom coś się dostało. Tak powstał ów tygodnik, którego redakcja mieściła się przy pierwszym oknie od schodów w budynku „Rzeczypospolitej", a kasa w Resorcie Kultury PKWN. „Stańczyk" spowodował mobilizację kilku ostrych piór, ale przesoliwszy coś tam uległ zawieszeniu pomagając chyba w ten sposób zmartwychwstaniu przedwojennych „Szpilek".

„Odrodzenie" było zasadniczym ośrodkiem skupiającym ruch literacki. „Ruch" należy rozumieć w znaczeniu dosłownym. Oprócz czterech pierwszych, usytuowanych tam na sposób paramilitarny — Przybosia, Putramenta, Ważyka i Jastruna — przez niewielki pokoik „Odrodzenia" przewinęło się wielu pisarzy znanych przed wojną, jak Boguszewska, Piętak, Lec, Sandauer, Peiper, Bieńkowski, którzy tam rozpoczynali swoje kroki po „lubelskiej Polsce". Pod tym względem tygodnik był czymś w rodzaju Państwowego Urzędu Repatriacyjnego dla literatury.

Natomiast trudno było „trafić" redaktora naczelnego, którym był Karol Kuryluk, albo w jakiś inny sposób poczuć się normalnym interesantem tej instytucji. Zwykle działo się tak, że grupki gości organizowały się samorzutnie, z czego na ogół wynikały krótkotrwałe rozmówki „o wszystkim", gdyż każdy „za chwilę" miał jakieś pilne sprawy i konfiguracja obecnych się nieustannie zmieniała. Jedna tylko Zofia Bystrzycka prowadziła osiadły tryb życia niewątpliwie ze względu na tuszę, którą wówczas mogła zaimponować. Jej udział w „ruchu" polegał na stałym okupowaniu jednego i tego samego krzesła, w której to pozycji zaprawiała się w niezbyt odpowiadającym jej zajęciu dziennikarki i publicystki.

Ale oto przyszła jesień, a za nią zima. Ze zdumieniem rodowici lublinianie skonstatowaliśmy, że ojczyzna liczy więcej niż trzy województwa i że niewątpliwie ta myśl przyświeca nowej ofensywie Wojska Polskiego walczącego u boku Czerwonej Armii. Trzeba się było pogodzić z koniecznością utraty uprzywilejowanej pozycji wynikłej z położenia geograficznego. Pewnego dnia na balkonie „Rzeczypospolitej" pojawił się napis „Warszawa wolna". Od razu stał się drogowskazem. Dla nieprzerwanych transportów na zachód. Jeszcze nie do stolicy, która wówczas była kupą gruzów. Ale po chwilowym popasie w Lublinie wolność rozchodziła się na cały kraj. Za Wisłą mieli jej dopiero zasmakować.

* * *

Oto kilka szczegółów, okoliczności, faktów. Nie wyczerpują nawet prywatnego zasobu pamięci, daleko im do pełnej panoramy tamtego czasu. Okolicznościowe wspomnienie „na wyrywki" wychwyciło je z morza spraw. Drobiazgi, ale w kontekście historii. Dlatego dane im jest pozostać w życiorysie wolności — na zawsze.

Debiuty

JANUSZ OZONEK

poezję rodzą oczy

ogromne oczy
tchnące czarem poezji
wielkiej poezji
burzliwej poezji
wiernej poezji

o wy niebiańskie księżyce
wiosny już śpiącej
w liściach

dobre oczy
uczciwe oczy

gra twoich oczu
urzeka cienie wiosny
szalonej wiosny
niezniszczalnej wiosny

nawet
przemęczone powieki
kochają mnie gdy kładziesz nimi
ruchy na ścianie

twoje oczy utkwione w moich
źrenicach
magnesują zmysły

czekam aż wrócą do domu
w mroku
prostopadłościanu

Zamość

HALINA BEZAK

Kolorowe szkiełka

Gdy byłam mała
jak skarby nosiłam ze sobą
kolorowe szkiełka
bojąc się
by mi ich nikt nie ukradł.

Dziś noszę w sercu
kolorowe szkiełka twych słów...
Kolorowe szkiełka —
dobre i szkiełka
jeśli na chwilę
zmieniają barwę świata...

Pińczów

STEFAN ATLAS

Skoro zabrakło widowni...

W ZNAKOMICIE opracowanym programie III Ogólnopolskiego Festiwalu Amatorskich Teatrów Poezji w Koszalinie (1—6 lipca br.) Julian Przyboś w gorących słowach pisze o tak nazwanym przez siebie Wolnym Ruchu Twórczej Mowy, rozumiejąc pod tym znakomicie rozwijający się u nas w ostatnich latach masowy ruch recytatorski. Stawiając nasze, oryginalne, jedyne, polskie osiągnięcia w tej dziedzinie, daje czytelnikowi do zrozumienia, że po nowym festiwalu należy się spodziewać jeszcze wspanialszych osiągnięć. Czy poeta przewidział?...

Kiedy na zakończenie festiwalu rozwarła się kurtyna i na scenie ujrzeliśmy chłopca i dziewczynę w dżinsach, zaś za całą dekorację służyły dwa biurowe, wyjątkowej brzydoty krzesła i magnetofon — raczej niewiele obiecywaliśmy sobie po spektaklu Teatru Poezji Wojewódzkiego Domu Kultury z Lublina. Tytuł głosił: „Romeo i Julia" — zapewne jeszcze jedna próba udziwnienia nieśmiertelnego szekspirowskiego dzieła. A przecież... Nie słowa Szekspira popłynęły ze sceny lecz surowy tekst renesansowego włoskiego opowiadania, które ongi mistrzowi ze Stradtfordu posłużyło za kanwę wielkiej tragedii. I oto ten tekst pozornie prosty, nieomal naiwny w ustach dwojga studentów z Lublina począł przed zdumionymi widzami roztaczać taką poezję, że umilkła zasłuchana sala porwana bez reszty nie byle jakim aktorskim kunsztem. Ewa Benesz może jako Julia bez żenady stawać w szranki z najznakomitszymi naszymi aktorkami. Ujmująca prostota inscenizacji, mistrzowsko podany tekst, wyborna, acz tak przecież dyskretna aktorska robota postawiły lubelskie widowisko od jednego razu w rzędzie wydarzeń artystycznych, takich kiedy już nie zauważa się rozdziału na amatorów i zawodowców, gdzie przemawia jedna, jedyna Sztuka, sama torująca sobie drogę, lekceważąca szufladki pedantów-klasyfikatorów.

A przecież teatr z Lublina nie był jedynym, który dostarczył prawdziwych wzruszeń. W tym samym dniu studencki zespół „Sigma" z Uniwersytetu Warszawskiego pokazał świetnie opracowany montaż poezji Harasymowicza; środkami aktorskimi najwyższej próby przekazał słowo i myśl poety naszego czasu. A nie sposób zapomnieć kontrowersyjnego, ostrego, pełnego ekspresji przedstawienia Teatru Poezji „Turnia", w którym Krzysztof Rościszewski, aktor i reżyser, wręcz szokująco obszedł się ze spuścizną wieszczów, przeciwstawiając im współczesną, jakże odmienną, jakże w zestawieniu gorzką lirykę Różewicza. I wciąż stoi mi przed oczami pozornie wesoła zabawa, przecież nie pozbawiona jedynej w swoim rodzaju ironii mistrza Idelfonsa — spektakl „Zaczarowanej dorożki" w wykonaniu uczniów szkoły rzemieślniczej ze Szczecina „Zielone tarcze" pod reżyserską batutą młodego poety Ireneusza Szmita. To było przedstawienie z ducha poezji Gałczyńskiego.

A były i przedstawienia nie mogące z tamtymi iść w szranki pod względem wykonania, mistrzostwa reżyserskiej dyrekcji, a przecież głęboko wzruszające, wyrosłe z umiłowania poezji i po swojemu, jak ał starczyło ją przekazujące, jak choćby zespół studentów Akademii Górniczo-Hutniczej „Erato" z Krakowa prezentujący rzecz o Żydach polskich pod tytułem ze starej żydowskiej piosenki zaczerpniętym „Rodzynki, migdały i piołun", czy jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny, prosty, jak prawdziwa ludowa pieśń i jak ona pełen naiwnego czaru wiejski teatr kaszubski ze wsi Niezabyszewo, który swą kaszub-

(Dokończenie na str. 14)

Michał Skalenajdo

MOJE LIPCE

Na wstępie małe wyjaśnienie. I to natury warsztatowej. Początkowo miał to być komentarz, później zmieniłem zamiar. Może lepiej felieton. Kiedy zastanawiałem się już nad jego koncepcją, błysnęła jeszcze inna myśl: a gdyby temat potraktować zupełnie inaczej? Ot tak, zwyczajnie, nie tradycyjnie, nie okolicznościowo. Na przykład w rodzaju lipcowych wspominek. Najzupełniej osobistych, obejmujących wydarzenia ważne i mniej ważne, po prostu takie, jakie utrwaliła pamięć. Pomysł wydał mi się szczęśliwy. Dla autora rzecz to niemal tak samo istotna, jak udany, intrygujący czytelnika tytuł. I tak oto zacząłem wystukiwać na maszynie wiersz po wierszu, kartkę po kartce. Oddzielałem je tylko datami.

Rok 1946

Ten lipiec był wyjątkowo pracowity. Razem z grupą szkolnych kolegów, harcerzy, członków ZMW i OM TUR znalazłem się w ochotniczych batalionach odbudowy Warszawy. Tyraliśmy w pocie czoła od wczesnego rana do późnego popołudnia. Na pierwszy ogień poszła Starówka. Metr po metrze wgłębialiśmy się w bezmiar gruzu, który nie dawał się, bronił dostępu do ulic zasypanych po ściany pięter. Wieczorem po każdym dniu pracy czekał nas przemarsz na kwatery. I to nie byle jaki! Aż na Bielany, do siedziby CIF, dzisiejszego AWF, gdzie rozbiliśmy namioty. A mimo to maszerowaliśmy zawsze ze śpiewem, wystukując mocno takt wojskowymi, podkutymi butami. Od pracy nie były wolne nawet niedziele. Nikt co prawda nie zmuszał, ale mieliśmy swój *młodzieńczy* honor i sporą porcję zapału. Toteż kiedy nadszedł dzień 22 Lipca, byliśmy wyraźnie zaskoczeni pozostaniem na kwaterach. Rozkaz dowództwa jednak — rzecz święta. Rozeszła się wieść, że ponoć przyjechać ma do nas jakiś generał. Podekscytowało to niemal wszystkich. Jedynie Staszek, wieczny sceptyk, był wyraźnie niezadowolony.

— Z generałem to nigdy nic nie wiadomo — gderał — przyjedzie taki, tu popatrzy, tam zajrzy, coś mu się nie spodoba i od razu ambaras. Z czego tu więc się cieszyć? Posmakujecie, zobaczycie.

I jakby rzeczywiście przewidział. A wszystko zapowiadało się początkowo tak składnie! Staliśmy wyprężeni w dwuszeregu, odziani w świąteczne drelichy, w nasuniętych zawadiacko na oczy furażerkach. Najpierw raport, później przejście przed frontem oddziałów, a na zakończenie defilada. Zupełnie jak w prawdziwym wojsku. Nawet to nas bawiło, zajmowało. Musztra, jaką przeszliśmy w PW, przydała się jak znalazł. W południe, kiedy generał w zaimprowizowanej na świeżym powietrzu świetlicy wręczał dyplomy i upominki i wydawało się, że wszystko już minie spokojnie, sprawdziły się Staszkowe przypowieści. Komendant zgrupowania wyczytał kolejne nazwisko wyróżnionego. Na jego dźwięk generała jakby poderwało.

— Kto? — zapytał tak głośno, że usłyszeli wszyscy. Komendant jeszcze raz odczytał nazwisko. Minęła minuta, dwie, nikt się nie zgłaszał. Wtem jakaś pochylona, zgięta we dwoje postać, usiłowała przeskoczyć krąg siedzących. Nie udała się jednak ta rejterada, chłopak zaczepił o czyjąś wysuniętą nogę i runął jak długi, tuż prawie pod stolik, przy którym siedział generał. Co było dalej, trudno opisać. Prysła uroczysta powaga chwili, a generał porzuciwszy dyplomy wykrzykiwał coś głośno do stojącego przed nim w postawie zasadniczej chłopca. Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że to jego syn. Resztę dopowiedział nam sam delikwent, ale już po odjeździe ojca. Okazało się, że prysnął z domu, nie mówiąc nawet „dowidzenia". Chciał posmakować samodzielnego życia. Po wakacjach miał, oczywiście, zamiar wrócić, ale pech chciał, że tak się to wszystko fatalnie stało.

— Nie mogli dyplomu dać komuś innemu? — biadolił. — Stary na pewno by mnie nie dojrzał!

Był zrozpaczony. Nie pocieszyła go nawet, przyniesiona przez komendanta wiadomość, że ojciec wyraził zgodę na jego pozostanie w zgrupowaniu do końca turnusu.

— A nie mówiłem — skomentował Staszek — z generałami to nigdy nic nie wiadomo. — Musieliśmy przyznać mu rację.

Rok 1951

I — znów lipiec w Warszawie, tylko w innej sytuacji. Krajowy Zlot Młodzieży. Na polach mokotowskich tysiące namiotów. Całe miasto zielonych i szarych dachów. Byłem wówczas czymś w rodzaju szefa do spraw propagandy delegacji lubelskiej. Łatwo powiedzieć „delegacji". Za określeniem tym kryło się prawie pięć tysięcy nazwisk. Wśród wielu kłopotów organizacyjnych szczególnie boleśnie odczuwaliśmy brak odpowiednich środków łączności. Cóż znaczył jeden telefon zlokalizowany w namiocie sztabu województwa? Trzeba więc było zapewnić stałą, i to dosyć liczną, grupę łączników. Ci jednak musieli biegać pieszo, jako że nie mieliśmy rowerów. Po dwóch, trzech takich rajdach z jednego końca pola na drugie — mieli dość. Szczególne męki przeżywali wieczorem. Jak któryś zabłądził w labiryncie obozowych uliczek, mógł tak krążyć całą noc, aż do świtu. Na szczęście, nikt nie zaginął. Zdarzył się jednak wypadek zbiorowego zaginięcia. I to grupy liczącej około 30 osób! Pech chciał, że stało się to akurat w samym dniu lipcowego święta i w dodatku, że była to moja podopieczna grupa. Do zadań jej należała między innymi opieka nad namiotami z dekoracjami. A były to dekoracje nie byle jakie. Przygotowanie ich trwało parę ładnych tygodni. Pracowało nad nimi wielu lubelskich plastyków. Mieliśmy ambicje pokazania się w warszawskim pochodzie jak najokazalej. Toteż, kiedy ustalono ostatecznie godzinę wymarszu kolumn, podałem również dla swojej grupy ścisły harmonogram czynności. Podział pracy był dosyć prosty: każda dwójka, lub czwórka, w zależności od wagi dekoracyjnego elementu, miała ustawić się w określonym miejscu, by następnie dołączyć do formujących się szeregów uczestników manifestacji. Początkowo wszystko odbywało się zgodnie z planem. Nieszczęście jednak chciało, że ktoś tam przyśpieszył przemarsz, że ktoś inny skierował na nasze pole kolumny z innych województw. Część moich „dekoratorów" — jak ich żartobliwie nazywałem — zagarnięta została przez ludzką falę. Nie było ratunku. Później już, na Placu Konstytucji, mogłem

(Dokończenie na str. 11)

Schron turystyczny na Połoninie Wetlinskiej. *Fot. Z. Postępski*

MARIA JÓZEFACKA

* * *

jestem okrętem
płynę do ciebie
jestem deszczem
przychodzę szumieć

czy wyrośniesz drzewem powtórnie
arko oliwna
arko cedrowa
arko z jarzębin co dom ocieniały

czy załadunek tylko to twój owoc
martwych w zalążku rzeczy
niepotrzebnych
czy zamiast zieleń ratować jak w
dżungli
schronienie dajesz pająkom i wężom

o wydrążonych form bezużyteczność

jestem deszczem
przychodzę szumieć

jestem falą
przychodzę napełnić

Lublin

WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI

Żeromski

Tutaj
żył i pracował

jeszcze echo
powtarza codziennie
Jego kroki

kiedy tak biegł ulicami
głodny i chłodny
nie wiedząc
czy na jutro
starczy mu sił
by zarobić na chleb
i dach nad głową.

Kielce

Odejście pisarza

DNIA 1 lipca odłożyłem „Agnieszkę, córkę Kolumba" na stronie 214. Nie wiedziałem, że następne przyjdzie mi czytać już po śmierci jej Autora.

2 lipca komunikat radiowy doniósł o śmierci Wilhelma Macha. Tym razem śmierć zabrała pisarza wprost od warsztatu. Godzimy się z faktem przemijania, ale trudno to przychodzi w wypadku, kiedy zamilknięcie na zawsze następuje w momencie szczytowego nasilenia twórczości.

Proza Macha. Zawsze fascynowało to słowo nie pośpieszne, ale też nie skostniałe w formalnym cyzelatorstwie, serdeczny i intymny stosunek do świata, analiza psychologiczna tak czule wychwytująca niuanse doznań. Jest to pisarstwo, które nigdy nie posługiwało się środkami artystycznymi forte. Natężenie czytelniczego wrażenia wynikało z sugestywnej siły słowa mówionego głosem przyciszonym, ale dotyczącego najistotniejszych przeżyć. Mach nie potrzebował krzyczeć. Od krzyku silniejszy był Jego dojmujący ton, niski szept brzmiący jak wyznanie. Liryk prozy — tak można by określić Jego twórczą indywidualność, jak Czechowicz był równie szczerym lirykiem poezji.

Czy uczuciowe zabarwienie twórczości łączy się z pochodzeniem bądź tematem wiejskim? Cztery spośród pięciu powieści Macha, tego mistrza kunsztownej — by nie rzec: wykwintnej — prozy, dotyczą środowiska chłopskiego. Urodzony na wsi, pozostał wierny jej obrazowi, który Go zajmował do ostatniej w życiu napisanej karty.

Właściwości Jego pisarstwa łączyły się integralnie z cechami charakteru. Był cichy, nie starał się wygrywać żadnych osobistych korzyści z racji talentu i pozycji wybitnego pisarza. Pomagał młodym kolegom po piórze, służył im radą, a przede wszystkim życzliwością.

Kochał piękno. Kochał je nie tylko swoją sztuką, w której uparcie i serdecznie kształtował każdy jej element, kochał je czystą humanistyczną postawą człowieka nie zwykłego czynić z tego deklaracji. Liczył się w literaturze. Nie liczył — na literackiej giełdzie, na której wy-

rastały wynoszone sezonowym kursem pozorne etapowe wielkości.

Wilhelm Mach. To nazwisko tak się zrosło z literaturą dwudziestolecia, że trudno uwierzyć w Jego nieodwołalną nieobecność. Jego śmierć przyszła nagle, jakby sam pisarz chciał jak najmniej sobą sprawić kłopotu.

Na wstępie użyłem pierwszej osoby liczby pojedynczej. To nie gramatyczny przypadek. Odejście Wilhelma Macha dotknęło przede wszystkim Jego

czytelnika

STEFAN WOLSKI

SPISKOWCY

FRAGMENT POWIEŚCI

— Zatem ksiądz Ściegienny ma za sobą wielką siłę — stwierdził Dzwonkowski.

— Chciałbym wiedzieć, czy ta siła Ściegiennego jest zupełnie niezależna, nawet od emigracji?

To odezwał się Stefański i wszyscy spojrzeli na niego.

— Najzupełniej niezależna — uśmiechnął się Piotr. — Dać tej sile broń do ręki i oficerów na przywódców, w każdym bądź razie doświadczonych żołnierzy, a oto rewolucja gotowa.

Powiedział to swobodnie, ale ujrzał wyraźnie wielkie wrażenie na twarzach zebranych.

Węgierski zakręcił się na krześle:

— Pozwólcie, że coś jeszcze dodam. Chodzi mi o charakterystykę ruchu niepodległościowego.

— Chcecie mówić o Związku Narodu Polskiego? — przerwał Ściegienny.

— Chyba wszystko o nim wiemy, wiemy także, że wy, tu obecni, wraz z Dembowskim jesteście za zniesieniem daremszczyzn i innych uciemiężeń chłopa i za jego uwłaszczeniem i usamowolnieniem. Dlatego zresztą zeszliśmy się na naradę.

— Tak jest, uważamy, że lud powinien współrządzić krajem.

— Niestety, innego zdania jest Kamieński i pozostali związkowcy, powolni jego niedemokratycznemu programowi.

— A twierdzą, że są za postępem i demokracją...

— Pewno w ich pojęciu część może zastąpić całość — powiedział Ściegienny. — W moim rozumieniu albo ktoś jest postępowy i demokratyczny, i wtedy jest taki w każdym działaniu, albo jest nim chwilowo, dla wygody. Tego zaś nie inaczej można nazwać, jak..

— ...fałszem... — wpadł mu w słowa Stefański, a Ściegienny życzliwie spojrzał na młodego człowieka.

— Nie wiem, czy Seweryn Goszczyński, zakładając w Krakowie po Powstaniu Stowarzyszenie Ludu Polskiego, przewidywał, że tutaj, w Królestwie, na gruzach świętokrzyżców Krajewskiego, powstanie związek w tak zasadniczy sposób skłócony wewnętrznie — mówił Węgierski.

— To jeszcze nie wszystko — machnął ręką Dzwonkowski. — Prawdziwe i doniosłe w skutkach skłócenie jest dopiero przed nami.

— O, tak! Łatwo to poznać, gdy widzi się reakcję ludzi Kamieńskiego na „Złotą Książeczkę".

— A dochodzi do ich rąk? — zainteresował się Ściegienny słowami, które wypowiedział Michał Lewicki. Czekając na odpowiedź, obserwował go z zaciekawieniem. — Jak reagują?

Lewicki poruszył rękami, jak gdyby nie mógł zdecydować się na właściwy dobór słów.

— Może nie tak często, jak do nas, ale dochodzi i gniewa ich — rzekł wreszcie.

— Niestety, oni treść tego dokumentu uważają za skierowaną bezpośrednio przeciwko nim samym — dorzucił Węgierski.

— A czyż nie mają racji? — zdziwił się Ściegienny. — Ich gniew to najlepszy znak, że w głębi duszy wiedzą, albo przynajmniej czują, iż Książeczka ma rację i zagraża ich stanowi posiadania.

Milczeli. Każdy z nich sięgnął w pamięci do tych groźnych i nowych słów „Złotej Książeczki", wzywających masy chłopskie do świętej wojny przeciw panom. Było im jakoś nieswojo. Nie przywykli jeszcze do takiej mowy.

Ściegienny obserwował ich zmieszanie z tym samym łagodnym uśmiechem na ustach, z jakim słuchał przed chwilą wynurzeń, jak gdyby wiedział, co się dzieje w ich sercach. Może właśnie dlatego odezwał się nagle z łagodną perswazją w głosie:

— Drodzy moi, wierzcie mi, tu nie ma czego się lękać, a widzę, że opuszcza was chwilami odwaga. Chłopi na pewno nikomu nie uczynią krzywdy, a zwłaszcza wtedy, kiedy będą u steru rządów.

— Ba, może inaczej myślano by tutaj, gdyby nie wpływ zagranicy, przede wszystkim Towarzystwa Demokratycznego Polskiego — powiedział cicho Dzwonkowski.

— No, tak, wiem, że Centralizacja tej organizacji po pierwsze chce długich przygotowań do powstania, i wygląda sprzyjającego układu politycznego w Europie, licząc szczególnie na Francję, a po drugie dąży do tego, ażeby tutaj została wytępiona wszelka możliwość samodzielnego decydowania chłopów w tych sprawach. Może nawet bardziej im na tym zależy, niźli na owym wymarzonym układzie sił politycznych na świecie.

— Na taki układ można czekać i sto lat — zaśmiał się gorzko Stefański.

— Może i dłużej — popatrzył na niego ksiądz Piotr — ale my nie mamy zamiaru oglądać się na nich, my, chłopi — dodał cicho lecz mocno.

— Ani też my — uzupełnił Węgierski. — Idziemy za programem Dembowskiego, a ten program prawie w całości pokrywa się z waszym.

— No, więc właśnie dlatego przyjechałem tutaj — powiedział Ściegienny. — Trzeba doprowadzić do jednolitego działania tam, gdzie to będzie możliwe, a także trzeba próbować porozumieć się z Kamieńskim bodaj w kwestiach zewnętrznych. Trzeba tę próbę podjąć, bowiem stoimy w obliczu godziny, w której lud chwyci za broń i przemówi wielomilionowym głosem.

Ściegienny powiedział to z przymkniętymi oczyma. Teraz głowę pochylił nieco ku rękom, które złożył przed sobą na stole.

Znów siedzieli przez kilka chwil bardzo cicho i żaden z nich nie wiedział, jak zacząć, bowiem żaden nie wierzył w możliwość porozumienia, a każdy wiedział, jaki los ludzie Kamieńskiego sami sobie zgotują, gdy powstanie ludowe stanie się faktem.

Nagle Ściegienny, znów przemówił:

— Wiecie, myślałem w tej chwili o emigracji, a zwłaszcza o tych jej odłamach, które są nam bliskie i bratnie, a powstały z garści chłopów — żołnierzy Powstania, których nie złamało pruskie więzienie, nie przeraziła śmierć towarzyszy i których nie zwabiła amnestia carska.

— Myślicie o Gromadzie Grudziąż?

— Tak. Tę organizację namiętnie zwalcza zarówno Hotel Lambert z miłościwie panującym tam księciem Czartoryskim, jak i Towarzystwo Demokratyczne Polskie... Mimo to przecież Gromada jest wszędzie: we Francji, w Belgii, w Anglii, w Czechosłowacji, nawet w Ameryce. Siedzi w Portsmuth, w Londynie, na wyspie Jersey... Jej członków zowią wichrzycielami i komunistami, ba, wrogami ludzkości...

Przerwał i popatrzył po nich.

— Wiecie, dlaczego o nich wspominam?

— Chodzi o Deklarację Worcela!...

Ściegienny znów życzliwie i ciepło spojrzał na Stefańskiego. Ten młody człowiek był równie zapalczywy jak inteligentny.

— Mam właśnie na myśli tę Deklarację. Chodzi mi głównie o następujące słowa: — Zawahał się jak gdyby w skupieniu przypominał sobie ich treść i swoim zwyczajem, gdy sięgał w głąb pamięci, przymknął nieco oczy:

— *„Ludy wszystkich narodów są Bracią, razem walczyć, aby razem zwyciężyć, powinny, a wtenczas runą spiski monarsze i świat odrodzonym się ujrzy"* — przerwał i spojrzał na nich — ... *„razem walczyć, aby razem zwyciężyć, powinny..."* — powtórzył. — O to mi najbardziej chodzi. Oto punkt wyjściowy dla wszystkich rozważań, jako też dla wszelkiego działania. Zważcie: wszystko na tej ziemi jest ludu własnością, gdziekolwiek znajdziecie się na świecie.

— Mówicie o rewolucji światowej — szepnął Dzwonkowski.

Skinął głową.

— Nie blisko nam do niej — westchnął Stefański. — Cóż my możemy zrobić, żeby ją przybliżyć?

— ...Przybliżmy do nas chociaż wielki lud rosyjski. Bowiem na sojusz z ludami trzeba nam się oglądać, nie na porozumienie ze szlachtą.

— Kamieński powiada, a i niektórzy z naszego nurtu też są za tym, ażeby najprzód wywalczyć wolność a później dopiero robić porządek społeczny i ekonomiczny — rzucił Michał Lewicki.

— A ja na to odpowiem tak — głos Piotra zabrzmiał surowo — nas, chłopów, nie obchodzi, kto rządzi krajem, to znaczy, kto w danej chwili zasiada na monarszym tronie, czy na bardziej nowoczesnym republikańskim fotelu, nie obchodzi nas bowiem niepodległość pod władzą panów. Każda niepodległość pod taką władzą będzie dla chłopa jednakowym uciskiem. Dlatego, gdy my mamy urządzać przyszłość, to musimy sobie jedno powiedzieć: nie mamy nic do odstąpienia i do podzielenia się, bo wszystko na tej ziemi, jako rzekł Worcel i jako i ja powtarzam, jest własnością ludu.

— Co zatem ma nas przede wszystkim obchodzić?

— Czyż nie możecie sami sobie na to odpowiedzieć, Węgierski? Skoro jednak chcecie usłyszeć to od Ściegiennego, tedy powiem: pod każdym uciskiem, czy to obcym, czy własnym obchodzić nas będzie jedynie sprawiedliwość społeczna, sprawiedliwość ludzka.

— Dobrze, dobrze — podchwycił Dzwonkowski — ale, gdy chodzi o Związek Narodu Polskiego, wszak mówiliście dziś przed tym zebraniem, że wielce pragniecie spotkania z Kamieńskim. A i teraz wspominacie o tym porozumieniu. Do czego więc prowadzicie?

— Chyba dość jasno powiedziałem, po co nam to potrzebne, dlatego będę szukał dróg do nich, mimo iż nie na wiele one nam się przydadzą.

— Może właśnie dlatego nie podobna ich ominąć? — mruknął Stefański.

— Czyż naprawdę między chłopami a szlachtą nie może dojść do żadnego porozumienia — wykrzyknął Michał Lewicki.

Ściegienny pokręcił głową.

— Nie, nie może... Z wielu powodów, ale wypadałoby tu przytoczyć garść liczb, o których mało kto wie. One są bardzo wymowne i najlepiej odpowiedzą na wasze pytania a także na wątpliwości, jeżeli ktoś je ma.

— Jakież to liczby?

— Podam je za chwilę. Rzecz prosta, będę operował liczbami przybliżonymi, bo Paskiewicz na pewno nie dąży do ujawnienia prawdy wyrażonej liczbami i dlatego trudno uzyskać dokładne dane. Otóż mamy obecnie w Królestwie około czterech i pół miliona ludności. Z tego blisko osiemset tysięcy mieszka w miastach, reszta, czyli koło trzech milionów siedemset tysięcy — to ludność wsi. A wiecie ile w tym trzeba liczyć szlachty? — Spojrzał po słuchających go spiskowcach z uśmiechem.

Dzwonkowski, który był wszakże szlachcicem i ziemianinem, uniósł brwi.

— O ile mi wiadomo, jest ich nie mało — powiedział. — Ale, rzecz oczywista, chłopów jest znacznie więcej — dodał prędko.

Ściegienny pochylił się do nich, jakby chciał im zwierzyć sekret; uśmiech nie schodził z jego ust.

— Będziecie zaskoczeni, gdy się dowiecie; dwieście tysięcy — powiedział z naciskiem. — Słyszycie? Dwieście tysięcy... I ta garść nierobów żyje z pracy rąk trzech i pół miliona chłopów. A co za to chłop otrzymuje?...

— Baty... gwałt, choroby, wszelkie cierpienia, rabunek sił i mienia... — dokończył ponuro Stefański.

— Tak, gwałt, ciemnotę i wszelkie zło... — powtórzył za nim. — Oto nowoczesne niewolnictwo, okrutne i bezlitosne. Azaliż między chłopem i szlachcicem w tych warunkach może dojść do jakiegokolwiek porozumienia?

— Przed nikim droga prawdy i cnoty nie może być zamknięta — mruknął Michał Lewicki. — Sami to głosiliście.

— Tak, i głoszę dalej. Bowiem ci sami panowie, którzy dzisiaj krew wysysają z ludu, gdy staną się członkami równej społeczności, będą mogli przyjść do nas, ale w pokorze i ze skruchą. W przyszłości nikt na nikim nie będzie się mścił za przeszłość, bo takiego programu Związek Chłopów nie poparłby.

— Chciałbym cofnąć się jeszcze do poruszonej tu sprawy współpracy z ludem rosyjskim. Czy po niedawnych smutnych doświadczeniach zechce on ponownie związać się z nami i czy w takim wypadku będziemy mogli bez obawy liczyć na niego? — zapytał cicho Stefański. — Mówię o tym, bo wydaje mi się, że to sprawa pierwszorzędnej wagi.

— Masz rację, bracie i przyjacielu — powiedział z ogniem Ściegienny. — Myślisz o nawiązanej przez naszych demokratów w okresie przed listopadem współpracy ze Związkiem Południowym w Kijowie, który walczył o zniesienie pańszczyzny, o równouprawnienie warstw społecznych, obalenie caratu i o wprowadzenie republikańskiej formy rządów?

— Tak, myślę właśnie o nich i myślę o naszej delegacji, którą do Kijowa wysłało Towarzystwo Patriotyczne, o Jabłońskim i Krzyżanowskim i... o zdradzie.

— Cóż chcecie, to byli bardziej przedstawiciele interesów szlachty, niż demokracji. Przytoczyłeś jednak celnie przykład, który właśnie najlepiej ilustruje to, na co moglibyśmy narazić się, gdyby nam dziś Związek Narodu Polskiego w osobie Kamieńskiego i jego sojuszników obiecał współpracę.

Spiskowcy śledzili uważnie ten namiętny dialog między Ściegiennym a Stefańskim.

— Zaiste, powinniśmy się wstydzić za tę zdradę — mruknął Węgierski. — To hańba, którą trudno będzie zmyć.

— Zmyjemy ją właśnie teraz — zawołał Ściegienny. — Nie powtórzy się rok 1825, kiedy nasi rosyjscy bracia, wzniósłszy sztandar walki, na próżno wyglądali od strony Polski obiecanego współdziałania. Ich zachodnia granica pozostała milcząca.

— Drogo ich to kosztowało!

— Ale to było milczenie szlachty.

Lud był innego zdania. Dowiodły tego styczniowe manifestacje w Warszawie w 1831 roku. Na ulicach miasta tłumy czciły pamięć zamordowanych przez carat pięciu dekabrystów z Sergiuszem Murawiewem Apostołem na czele. Dobrze to pamiętam.

—I ja pamiętam! — wykrzyknął Dzwonkowski. — Nie było nikogo, kto na wezwanie Klubu Patriotycznego nie odpowiedziałby udziałem w manifestacji.

— A przecież w cztery lata później rosyjscy bracia pod wodzą Alga — Kuźmin Korowajewa próbowali odbić z więzienia Szymona Konarskiego, tego, który wspólnie z Goszczyńskim tworzył Stowarzyszenie Ludu Polskiego a potem przedarł się przez granicę, ażeby doprowadzić do tajnej współpracy z wojskowymi rosyjskimi pragnącymi odrodzić ruch dekabrystów. Alga — Kuźmin dowiódł więc, że zawsze możemy liczyć na rosyjskich braci — mówił spokojnie Ściegienny. — A zatem możemy poważnie rozważać nawiązanie współdziałania rewolucyjnego!

przedwcześnie zmarły poeta ukraiński

Bohdan Igor Antonycz

(1909-1937)

w przekładach

Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

Wiśnie

Antonycz chrząszczem był, na wiśniach kiedyś mieszkał,
tych wiśniach, które w wierszach Szewczenko opiewał.
Ojczyzny mej gwaździsta i biblijna ścieżko
w kwiecie wiśni i śpiewie słowików na drzewach!

Gdzie świty, gdzie wieczory są ewangeliczne,
gdzie słońce się na wioski białe złotem ściele
i gdzie natchnione wiśnie okwiecone ślicznie
jak za Szewczenki, znowu poją pieśni chmielem.

Nauka

U cieśli naucz się rzemiosła,
naucz się ciosać słowo.
Liryczna odpłynęła wiosna,
cieślelskie lato znowu

Siekiery palę się modlitwą,
lśnią srebrem moje strofy.
I lecą słowa jak rybitwy
pod sine, pod niebiosy.

Jarmark

Mój brat, chłopięcych krawiec marzeń,
do ziemi przyszył niebo.
Mienią się chustki u kramarzy
niby stubarwny grzebień.

Śpiewają cieśle, grzmi bębnista.
Odkryję tajemnicę
na targu słońce promieniste
sprzedają dziś w Gorlicach.

Szynkarskie czary

Kopcąca świeczka, nóż szczerbaty,
czerwienny śmiech królowej z kart.
Jawa zmieszana z snem skrzydlatym:
nierzeczywistość — noc i czar.

Drżą usta wparte o szkło czarki,
a w gardle złej rozpaczy skrzep.
Dukatów sto ci dam, szynkarko,
lecz sprzedaj mi księżyca sierp.

Syn cieśli

Dębowa skrzynia, w skrzyni piosnka i siekiera
Siekierą co dzień ojciec pokłon bił przed Bogiem.
Twój dziad też cieślą był i stoją cerkwie cztery,
którymi on zakończył życie swe ubogie.

Niestety, twoja ręka już nie do topora,
nie będziesz ciosał z drzewa marzeń swych skrzydlatych.
Tak ptaki naszych gór kieruje września pora
ku dolinom w dziewczęta i w kwiaty bogatym.

Weselna

Cyt! Grzmią weselnych bębnów głosy
i klony kłonią się jak pawie.
Najdroższa moja, w twoje włosy
zapłynął miesiąc kędzierzawy.

Czemu ton skrzypiec przygasł czysty,
czemu zadrżały twoje dłonie?
Jak mchem noc światłem swym srebrzystym
podkowy obwiązuje koniom.

WAWRZYNIEC BEREZECKI

KATARZYNA*)

Na garbatym kuferku, w którym bytowały chyba niezmierne skarby, o czym świadczył olbrzymi klucz w ręku matki, sypiała niańka Katarzyna. Niańka, ułomne starsze kobiecisko, przybyła z Czułczyc, wsi związanej ze świętym Rochem, Kozerskimi i Brezami. Siostra Katarzyny, bogata gospodyni, chętnie ją matce „odstąpiła" — jeszcze chętniej zatrzymując przy sobie połowę spadku kaleki. Cóż to było za kalectwo? Katarzyna nie dowidziała! Są takie chabety na targach końskich — o normalnych oczach i ukrytej ślepocie. Cyganie wtryniają je prostodusznym chłopom za ładną nawet gotówkę. Tu po cygańsku postąpiła siostra Katarzyny.

Niewidzialne felery w zestawieniu z odpowiedzialnością niańki do małych dzieci okazały się fatalne. Katarzyna potrafiła zamiast naczynia nocnego podać baniak do zupy, zamiast do miski — nalać barszczu do durszlaka. Rano narzucała na siebie kaftan matczyny zamiast swojego, a i to na lewą stronę. Czasem przykryła łóżko prześcieradłem, wkładając kapę pod spód. Ludzi poznawała po głosie, szukała rzeczy po omacku i zawsze trafiała palcem w niebo. Lubiła i pokląć — no bo jak tu żyć: człowiek sam na siebie narzeka, jeszcze chętniej na innych. Ponieważ klęła po ukraińsku i w tymże języku perorowała, nie było to już takie dotkliwe, częściej zabawne.

Czasem przychodziła z kądzielą albo pierzem do darcia uboga Filipowa, aby w pogaduszkach z matką utopić samotność i tęsknotę po zmarłym mężu i synie. Katarzyna w trakcie mycia naczyń dobierała się bezwiednie do garnka wdowy, która przynosiła ze sobą strawę, aby móc posiedzieć przy kądzieli bodaj do wieczora. Baniaczek Filipowej istotnie był bardzo zapuszczony i Katarzyna wściekle go szorując wstydziła matkę przy gościu za niechlujność:

— „Bączyta, jaká to hospodyni! Hadko jak u swyni"! — „Katarzyno, ależ to mój garnek" — śmiała się wdowa a za nią matka.

Przy tej ułomności Katarzyna zdobyła się jednak na odwagę, aby pójść do Tulkinów — proszono ją o pomoc przy bieleniu mieszkania. Tulkinowa podsadziła ją na taboret, z taboretu na stół, podała pędzel i wapno — i zaczęło się bielenie. Kiedy już zachlapała bardziej szyby niż sufit i ściany, stąpnęła nogą poza krawędź stołu i zwaliła się wraz z wapnem na podłogę. Okrutnie potłuczona, zbryzgana i jęcząca wpadła w oczy wracającej z miasta matki.

— „A to co takiego!" — przeraziła się matka i natychmiast pobiegła do Tulkinowej. — „Jak mogliście ją brać do bielenia!? Przecież mogła się zabić! To ślepa!"

Szyby miały matowy odcień, pułap pokrywały wyspy wapna. Katarzyna mogła wcale tej roboty nie dokończyć, mogła się potłuc zaraz w pierwszych minutach. A jednak wybieliła całe mieszkanie!

Małe dzieci są okrutne. Może byłem okrutniejszy od innych. Najwięcej to się skrupiło na Katarzynie. Pewnego razu potrzebowałem do zabawy dużo guzików. Rodziców nie było, nudy straszliwe, niańka drzemie. Gdzież więcej guzików, jak nie przy kaftanach i spódnicach Katarzyny, w jej tłumoczku? Poobcinałem wszystkie, jakie się dało. Ileż potem było urągania, kiedy nie mogła zapiąć kaftana lub kiedy spódnica opadała ku ziemi! Innym razem, kiedym się niezmiernie nudził sam na sam z Katarzyną, urządziłem sobie pod stołem wielki koncert wycia i trąbienia na rurze od piecyka. Gdy po omacku wyganiała mnie stamtąd, przebiegałem niewidoczny dla niej pod drugi stół, pod łóżko, pod drugie — i znów drażniłem ją rechotem, wyciem albo piskiem.

— „A szczob tebé nyszczystia wchopyło!" — tyle tylko bajek od niej mogłem usłyszeć A ja żądny byłem albo baśni albo zabawek.

Chodziła w kolorowej spódnicy, w jeszcze barwniejszej chustce, ale błądziła głową w przestrzeni jak ślepa kocię, suwające pyszczkiem to w jedną, to w drugą stronę. Pacierza nauczono ją po polsku. Skradałem się z tyłu i słuchałem dziwacznych szeptów. Pacierz ten wyglądał jakoś bardzo jednostajnie: „Sip — syp — sip... Sip — sip — syp... Syp — syp — sip...".

Była u nas ze trzy lata. Potem trzeba ją było wyprawić do siostry.

Po piętnastu latach, kiedy Kozacy wyganiali ludność w głąb Rosji przed zbliżającymi się Austriakami, fala ta dotknęła i Czułczyc. Chłopi i baby, na furach i bez fur, z krowami i bez krów, z pierzynami i niemowlętami — wlekli się przez lasy czułczyckie i stańkowskie na niewiadome. W jednym z lasów pochód bezdomnych wyruszył jakoś przed świtem. Katarzyna zaspała, nie zwrócono na nią uwagi — i pozostała w lesie sama. Kiedy się ocknęła, zastanowiła ją niezwykła cisza. Zaczęła wołać — nikt się nie odzywał. Poszła przed siebie, aby dopędzić ludzi, ale ci byli już bardzo daleko, a Katarzyna nie słyszała przed sobą głosów, szła teraz po omacku, zbaczając to w lewo, to w prawo. Krążyła tak przez cały dzień, aż doszła do pobojowiska — front już przeszedł. Ciemniało. Doszła do jakichś ludzi, rozrzuconych na polanie i uważając ich za swoją wędrującą wieś, która urządziła sobie kolejny nocleg — legła odpocząć.

Kiedy się przebudziła, już dobrze świtało, ale ludzie wciąż spali. Szczególnie zaniepokoił ją sen najbliższego sąsiada, bo podczas nocnego chłodu przytuliła się bezpośrednio do jakiejś ludzkiej postaci.

Znudzona oczekiwaniem, zaczęła tarmosić człowieka: „Wstawajte, wstawajte, lude!" Za twardo spał, posunęła się więc aby budzić następnych: „Lude, wstawajte, pidemo!" — Martwy sen rodzinnej wsi przeraził ją. Wpadła w panikę dopiero wtedy, gdy u jednego człowieka namacała brak ręki, u drugiego poharataną twarz. Przespała się więc na nie uprzątniętym jeszcze pobojowisku przytulona do zabitego żołnierza.

*) Jest to fragment dalszych wspomnień Wawrzyńca Berezeckiego, których urywek pt. „Moje przedszkola" zamieściliśmy w numerze 1—2 „Kameny" br.

Cementownia w Chełmie *Fot. A. Polakowski*

Ireneusz J. Kamiński

FSC zaufanie i produkcja

(Dokończenie ze str. 1)

niali się bardzo często, ale jakoś żaden z nich nie zapisał się na trwałe i na dobre w historii zakładu oraz w ludzkiej pamięci. W końcu nastał rok 1962...

* * *

W gabinecie szefa produkcji, inż. Jerzego Krajewskiego, wisi na ścianie ciekawy i przejrzysty nawet dla laika wykres informujący o wykonaniu planu produkcji towarowej zakładu w latach 1958—1965. Grafika jego kolorowych linii układa się w dwie jakby osobne grupy, chociaż dotyczy tego samego zagadnienia. W tym wykresie zawarta jest historia produkcji lat ostatnich, ale też i dzieje ludzkie. W latach 1958—1961 krzywa wykonania planu skacze jak opętana, w jednym i tym samym roku osiąga wysoki punkt 118%, aby po kilku miesiącach spaść do poziomu 89%. Wahania zaczynają się uspokajać w r. 1962, aby w latach następnych skupić się na jednym poziomie, zawsze powyżej normy. Oznacza to, że poprzednia nierównomierna produkcja osiąga po r. 1962 idealną niemal rytmikę. I nie jest chyba prostym zbiegiem okoliczności, że stało się to wówczas, kiedy dyrektorem FSC został Gustaw Krupa. Od momentu jego przyjścia do zakładu, FSC awansuje do ścisłej czołówki przemysłu krajowego.

Nie rozmawiałem nawet z dyrektorem Krupą, lecz pomimo to jestem przekonany, że znam go dość dobrze: poprzez zakład i ludzi, których osobiste biografie kształtowały się często w kontakcie z jego osobą i działalnością. Jednym z tych ludzi jest inżynier Krajewski, który swój stosunek do dyrektora definiuje bardzo lapidarnie i dowcipnie: *„Wolę być starszym ministrantem przy dobrym biskupie, niż proboszczem podłej parafii"*. Krajewski współpracuje z Krupą od r. 1956, począwszy od zakładu w Nowej Dębie znajdującego się wówczas na pograniczu całkowitej plajty ekonomicznej. Po 9 miesiącach po objęciu kierownictwa przez Krupę fabryka zmieniła całkowicie profil swej produkcji, a po roku zdobyła pierwsze miejsce w zjednoczeniu. Do Lublina przyjechał Krajewski razem z Krupą i objął stanowisko szefa produkcji.

Wieloletni pracownicy FSC zgodnie stwierdzają: w chwili przyjazdu nowego dyrektora w fabryce panował bałagan, planowanie produkcji znajdowało się na poziomie większej manufaktury, sytuacja wśród załogi nie miała nic wspólnego z socjalistycznymi stosunkami m i ę d z y l u d z k i m i.

Niemal wszystkie zasadnicze sprawy zakładu poddał Krupa ścisłej rewizji i dokonał zdecydowanych zmian, w czym pomagali mu najbliżsi i doświadczeni pracownicy. Zrytmizowano produkcję, opracowano nowe metody pracy i dziś, w rezultacie tamtych decyzji, zakład daje produkcję wartości grubo ponad 3 miliardy złotych, jego halę montażową opuści w tym roku około 10 tys. *„Żuków"*, w tym 500 furgonów nowego typu, nie mówiąc już o ilości masowo produkowanych części i detali samochodowych. Dodajmy dla porównania, że w r. 1961 wartość produkcji niewiele przewyższała miliard złotych. Równie wymowne są liczby odnoszące się do procentowego wzrostu produkcji: w r. 1965 w stosunku do roku ubiegłego produkcja podskoczyła o 58%, przy wzroście zatrudnienia zaledwie o 4%. Sukces dobrej organizacji pracy, planowania, a w znacznej mierze — właściwych stosunków pomiędzy ludźmi zakładu. I to ostatnie jest chyba najbardziej interesujące i godne uwagi w lubelskiej FSC.

Jeszcze przed kilku laty fundusz zakładowy w FSC dzielono w sposób dość niezwykły, dostawali go bowiem najczęściej ci sami ludzie. Obecnie wszelkie premie, nagrody itp. wyróżnienia przydzielane są przy wiedzy i aprobacie kolektywu: rady robotniczej, organizacji partyjnej, dyrekcji, załogi. Konsekwencje tego posunięcia stały się podstawą wytworzonego później zaufania pracowników do kierownictwa.

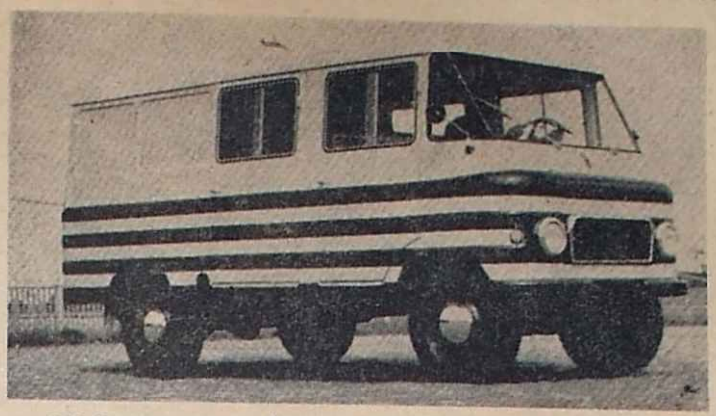

FSC. Prototyp nowego „Żuka" — furgonetki. Produkcja seryjna w IV kwartale 1965 r. *Fot. K. Wierucki*

Dawniej, w pogoni za wykonaniem planu zapominano często, że realizują go ludzie; w wypadku zagrożenia produkcji przerzucano robotników z działu mechanika do innych hal, a psującej się wentylacji nie miał kto naprawiać. Krupa podjął decyzję rozdziału służb technicznych, co nie wszystkim wydawało się potrzebne i uzasadnione. *„Planu nie wykonamy"* — krzyczeli.

Postawił na swoim, plan wykonują z nadwyżką, niedawni oponenci zdziwili się, ale i przekonali, wzrósł autorytet dyrekcji, pogłębiło się zaufanie ludzi. W początkowym okresie, po przyjściu Krupy, Krajewskiego i innych do zakładu, zdarzały się momenty zagrożenia planu. Dyrektor szedł wówczas na hale, przemawiał, tłumaczył, przekonywał i wówczas ludzie zrozumieli, że nie są tylko wykonawcami, ale i współgospodarzami. Świadomość tego nie naruszyła dyscypliny załogi, wręcz przeciwnie, podniosła ją znacznie i dziś spotykane wykroczenia, zazwyczaj drobne, są zaledwie trzecią częścią tych z lat poprzednich. Warto przy tym podkreślić, że dyscyplina w FSC nie ma nic wspólnego z podziałem: my — kierownicy, oni — załoga, ale jest rezultatem wielkiego autorytetu kierownictwa, w z a j e m n e g o szacunku opartego na w z a j e m n y m zaufaniu. Wystarczy zresztą pójść do FSC w poniedziałek, który jest dniem przyjęć u dyrektora Krupy, wmieszać się w tłum ludzi czekających swojej kolejki, aby przekonać się, z jakimi przychodzą sprawami do swojego „Starego". Proszą nawet o mediację w nieporozumieniach małżeńskich!

Troska o człowieka, o jego dobro, jest w centrum uwagi kierownictwa zakładu, a sam dyrektor wielokrotnie podkreśla jej znaczenie. Kilkanaście dni temu przemawiając przez mikrofony radiowęzła fabrycznego powiedział między innymi: *„O ile tak zaczniemy zarządzać fabryką, by uwaga nasza koncentrowała się na sprawach robotnika — począwszy od wody, a skończywszy na jego przegrupowaniu, stabilizacji zarobku — to o wyniki wielkiej fabryki, o horoskopy jej rozwoju, o jej rozrost asortymentowy — powinniśmy być i będziemy spokojni"*.

Tym bardziej, dodajmy od siebie, że w zakładzie nie brak ludzi odważnych. Oto kilka tygodni temu, z inicjatywy biura szefa produkcji i dyrektora przyzakładowego Ośrodka Szkolenia Zawodowego oraz przy poparciu dyrekcji, rozpoczął się w FSC ciekawy eksperyment, który zdołał zainteresować Ministerstwo Oświaty. W jednym z najważniejszych wydziałów brakowało kompletu ludzi, plany były napięte i wtedy właśnie zdecydowali się na niezwykle ryzykowne przedsięwzięcie, które mogło dużo kosztować: w ciągu 24 godzin obsadzili wszystkie stanowiska tegorocznymi absolwentami przyzakładowej szkoły zawodowej. I wbrew licznym „krakaniom" produkcja podniosła się, a jakość nie zmalała!

* * *

Początkowo chciałem napisać „techniczny", oparty głównie na liczbach reportaż z dużej fabryki. Zetknąłem się jednak z ludźmi tej fabryki i wyszedł panegiryk. Tylko czy można nazwać artykuł panegirykiem, jeżeli opiera się on na rzeczywistych faktach?

TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA /Rzeszów/

OLGIERD ŁOTOCZKA

Skraj ziemi

MOTTO:
I tak się właśnie kończy świat
I tak się właśnie kończy świat
I tak się właśnie kończy świat
Nie hukiem lecz skomleniem
T. S. ELIOT

oto jest ziemia
która nie jest jako dobrodziejstwo
ani zło
ani pokrzepienie
ani nieszczęście
nie jest ani życie
ani choroba część życia
ale śmierć
swoja własna śmierć

oto jest ziemia która jest na końcu
ani pełna
ani rozdarta
ale nowy kształt
jak nowy kształt jest szkielet umarłego
i odeszłego od kształtu

oto jest kształt ostatni ziemi
jałowy w substancji
jałowy w formie
na czas jednej pory wiatru

ludziom którzy pełzają w rozbitej łodzi
z morza w czas sądu
z wody w czas sądu aby umrzeć z pragnienia
jest miłosierdziem
ziarnem niewidzenia
niesłyszenia
nieodczuwania
ziarnem piasku na zmęczone oczy
miłosierdzią

TADEUSZ PIEKŁO

Drążenie kory

mrówcze poszukiwanie

pod skórką karpiela
kropla zapachu rozpryskuje świtem
zęby po dziąsła zatopione w rosie
od sopy w glinie białe błyskawice

gdy kwiat szrapnela kwitnący nad głową
odrywał skrzydła ważkom samolotów
pieczony ziemniak pękał w głodnych dłoniach
i ścierń pryskała w śliskich pyskach krów

mrówcze poszukiwanie

pod powieką wody
rąk się korzeni z olchą i pokrzywą
mydło z kamienia strumieni się siwo
listowie cienia krzewi skórę traw

a puchną trupy z mundurów rozdziane
a zaciskają nozdrza okna drzwi
zbutwiałe ciała odbierane ziemi
płoną zgnilizną i pleśnią
u płota

tak siebie szukać
by pędzącym kulom
zmysł lotu odjąć
wstrzymać je
przed skórą

skórką karpiela
liściem
kroplą śliny

WIESŁAW KOSZELA

Dojrzewanie snów

najpierw wypełza z zakamarków mózgowej kory
dotyk ciebie niezwietrzały
potem szum odległych drzew
wakacyjny plusk wody pod wiosłem
płacz dzieci u sąsiada za ścianą
nieznajome kroki na schodach
aż wreszcie kakofonia codzienności nabiera jednej
barwy
i przenika w obrazy z dawna zleżałe
pachnące kurzem
śliskie i nieuchwytne jak skrzydło mola
krótki mignięciem fotograficznego flesza
błysk przerażenia snem
trwoga codziennych samounicestwień
i obrazy spadają w głuchą studnię przeciętą
przez średnicę ziemi
aby za chwilę trzepotać zakurzonymi powiekami
oślepione światłem
słońca które wytrysnęło na drugiej półkuli

Z OKAZJI Dni Rzeszowa odbył się w Domu Kultury WSK Turniej Jednego Wiersza. Na turniej nadesłano 53 utwory — warunki turnieju spełniły 43. Jury w składzie: BOGDAN ŁOEBL, JERZY PLEŚNIAROWICZ i ADAM WŁODEK (przewodniczący), postanowiło przyznać następujące nagrody, ufundowane przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Rzeszowie:

I nagrodę w wysokości 2000 zł OLGIERDOWI ŁOTOCZCE za utwór pt. „Skraj ziemi"; II nagrodę w wysokości 1500 zł TADEUSZOWI PIEKŁE za utwór pt. „Drążenie kory"; III nagrodę w wysokości 1000 zł WIESŁAWOWI KOSZELI za utwór pt. „Dojrzewanie snów".

Jury przyznało również dwa wyróżnienia honorowe: ZOFII STAPOR za utwór pt. „Wizyta" i BARBARZE TONDOS za utwór bez tytułu.

Nagrodę publiczności otrzymał ANDRZEJ ZABIEROWSKI za wiersz pt. „O stworzeniu człowieka".

Bohdan Królikowski

DZIEDZICTWO PANA HIERONIMA

Lublin, Narutowicza nr 4. Dwie kamieniczki połączone w głębi korpusem o pięknej fasadzie, zza którego widać jeszcze potężny (choć nie otynkowany) pięciopiętrowy gmach. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego.

KIEDY za odległych już dziś lat zabrakło komuś w uniwersyteckich lektoriach i zakładach jakiegoś Pilata, Korbuta, czy Chrzanowskiego, dobra rada kolegów brzmiała: *„Idź do „Łopaty", tam dostaniesz"*. I dostawało się. Czytało się w chłodnej sali zakurzone mądrości wąsatych profesorów, choć przez okna półkolistej czytelni słońce w liściach ogromnych lip zdawało się zapraszać na spacer.

Chodzą do „Łopaty" i dziś studenci, uczniowie. Chodzą wszyscy, którzy chcą przeczytać rzadką książkę, przejrzeć czasopismo, czy po prostu obejrzeć nową wystawę w hallu.

Biblioteka istnieje w Lublinie tak dawno, że mało kto pamięta, kiedy ją założono i dlaczego tak się nazywa. Wyszła przed kilku laty gruba księga *„Hieronim Łopaciński i Biblioteka jego imienia"*, Lublin 1957 — dobrze zatem do niej sięgnąć po parę koniecznych wyjaśnień. Niech je poprzedzi wyjątek z wiersza K. A. Jaworskiego:

„Już się pięćdziesiąt razy
wyśnieżyła zima,
Jak osierocił księgi swoje
nauczyciel.
Wzbogacone dziedzictwo pana
Hieronima,
Z uporem wciąż rozsiewa
kiełkujące życie."

Nauczycielem, który przed pięćdziesięciu w chwili powstania wiersza, a dziś już blisko sześćdziesięciu laty, osierocił swoje książki, był Hieronim Rafał Lubicz Łopaciński, nauczyciel łaciny i greki w gimnazjach lubelskich, zmarły po wypadku ulicznym 25 sierpnia 1906 roku. Z wykształcenia filolog klasyczny, oficjalnie do końca życia tylko nauczyciel gimnazjalny, zostawił jednak Łopaciński dorobek naukowy, który zasługiwał na katedrę uniwersytecką. Wieloletnie jego prace naukowe (spis publikacji Łopacińskiego obejmuje 575 pozycji) dotyczyły kilku dziedzin: etnografii, historii, językoznawstwa i historii literatury. Pozostawał Łopaciński w kontaktach naukowych z profesorami tej miary, co A. Brückner, J. Łoś, J. Karłowicz, A. Kryński. Był też członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności.

Jednak nie prace naukowe Łopacińskiego były powodem, dla którego Biblioteka nosi jego imię. Łopaciński, który był namiętnym bibliofilem i zbieraczem, zgromadził w czasie dwudziestoletniej pracy w Lublinie ogromny — jak na prywatne warunki — księgozbiór, liczący prawie 12 000 tomów, wiele inkunabułów, rękopisów, rycin i atlasów. Już w dniu jego śmierci grono przyjaciół postanowiło zbiory te nabyć od rodziny celem zapoczątkowania biblioteki miejskiej. W roku 1907 powstało Towarzystwo Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie, które nabyło

(Dokończenie na str. 13)

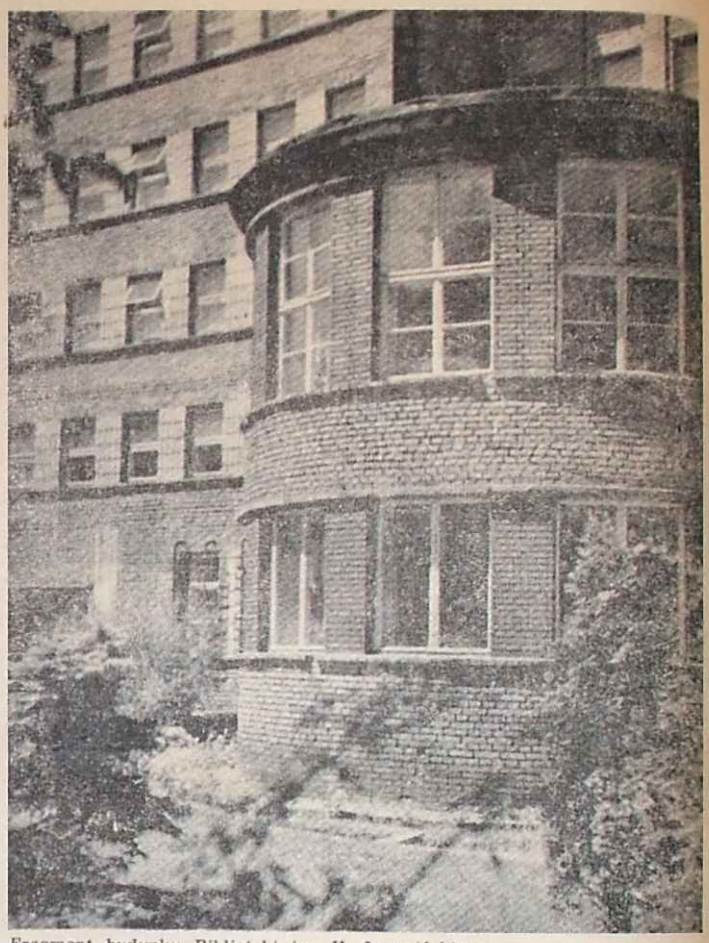

Fragment budynku Biblioteki im. H. Łopacińskiego

BRONISŁAW SZAFRANIEC

Jedna z wielu

WIEŚ, którą pragnę przedstawić, zdawałoby się niczym specjalnie się nie wyróżnia. Jest podobna do tysiąca innych. Jej awans rozpoczął się po wyzwoleniu, a startem był Lipcowy Dekret.

Szosą z Radymna jedziemy w kierunku południowo-zachodnim. Mijamy Ostrów, teraz na małym wzniesieniu skręcamy w lewo i po kilkuset metrach ukazują się pierwsze zabudowania. Piękny letni plener i duże, przestronne domy, rzęsiście oświetlone żarówką kładą długie, falujące cienie, pysznią się swoją ceglaną trwałością i świeżym tu i tam pachnącym jeszcze tynkiem. Przed domami małe grządki i kwiaty. Dużo kwiatów — to wynik konkursu koła gospodyń wiejskich.

Łowce Duże — wieś w powiecie jarosławskim. W słowie „duże" nie ma żadnej przesady. Łowce „liczą" prawie 400 numerów, a ciągną się bez mała 7 kilometrów. Przeważnie nowe domy, nierzadko murowane, stoją równiutko, jak uciął, po jednej i drugiej stronie drogi.

Właśnie — droga. Dziś głośno już o niej w całym powiecie i całym województwie rzeszowskim. Jeszcze dwa lata temu drogi takiej nie było. Dopiero wielki, społeczny zryw, ofiarność i ogromny wysiłek wszystkich gospodarzy Łowiec, wydatna pomoc państwa przyniosły świetny efekt w postaci 6 kilometrów drogi o trwałej nawierzchni. Wkrótce otrzyma ona smołowany dywanik. Trudno, oczywiście, wartość tych prac przeliczyć na złotówki. W każdym razie są to już miliony złotych, a zdobyta druga nagroda w czynie 20-lecia najwymowniej o tym świadczy. Łowce stały się dzięki temu drugą wsią w województwie rzeszowskim pod względem realizacji czynów społecznych.

Niezależnie od tychże, tak to określę, normalnych korzyści, które płyną dla wsi z posiadania dobrej drogi, są jeszcze inne. Najważniejsze, że Łowce otrzymały tak bardzo potrzebne połączenia autobusowe.

— *Dziś* — z dumą opowiadają łowczanie — *z komunikacją nie mamy żadnego kłopotu. Wsiada się do autobusu i po kilkudziesięciu minutach jest się w Przemyślu, Jarosławiu czy nawet w Rzeszowie. Kto by się spodziewał! Aż strach pomyśleć, jak było dawniej. Najgorzej jesienią, gdy przyszły deszcze, a trzeba było zwieźć buraki cukrowe. Łamano koła, dyszle, a konie tonęły w błocie i kałużach.*

A trzeba wiedzieć, że buraków sadzi się tu dużo. Pod tym względem Łowce przodują w województwie, tak zresztą, jak i w uprawie zbóż, których średnio z hektara zbiera się grubo ponad 20 kwintali.

W pracach polowych pomaga wydatnie kółko rolnicze. Ma sześć traktorów wraz ze sprzętem towarzyszącym, dwie snopowiązałki, sześć młocarń, koparki, opryskiwacze — słowem to wszystko, co potrzebne jest do lżejszego i korzystniejszego gospodarowania. Nie ma chyba w Łowcach gospodarza, na którego polu nie pracowałaby maszyna kółka. Żniwa stały się nieporównanie lżejsze i mniej pracochłonne, a omłoty trwają nie dłużej niż dwa tygodnie.

Takie sprawy bywają często tematem rozmów w sklepie, gdzie wieczorem zbierają się gospodarze, bo, jak dotąd, innego lokalu na tego rodzaju sąsiedzkie spotkania w Łowcach nie ma. Jest wprawdzie świetlica, ale za mała i za ciasna, zresztą wypełnia ją szczelnie młodzież oglądająca telewizyjny program. Przychodzą więc do sklepu przedstawiciele najstarszych rodów, które głęboko wrosły w przeszłość i związane są z Łowcami na zawsze. Są tu prawnuki Gilarskich, Chudzików, Strawów, Walczaków, Woźniaków, Turków i wielu innych. Dla tych właśnie ludzi dobro i rozkwit wsi jest największą sprawą i obowiązkiem. Tymi właśnie racjami kierowali się kilka lat temu, gdy w niełatwej sytuacji rozpoczynali w czynie społecznym elektryfikację. Ile było z tym kłopotów, wiedzą najlepiej ci, którzy bezpośrednio tymi pracami kierowali. Swego jednak dopięli. I dziś w każdej zagrodzie świeci żarówka, grzeje żelazko, pierze pralka w wielu, grają radia i telewizory, a silnik elektryczny porusza maszyny i piły.

Takie są Łowce dzisiejsze, Łowce 1965 roku. Wieś, która przed wojną niemal w całości uzależniona była od dwóch wszechwładnych jaśniepańskich dworów. To tu krzywda i poniżenie, przednówek i nędza wyzwalały śmiałe i postępowe myśli. Stąd szli chłopi pod Muninę w 1937 roku, gdzie w starciu z granatową policją zginął 18-letni Jan Gilarski, a wielu odniosło ciężkie rany. Tu wreszcie w latach okupacji działała silna organizacja BCh, a w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu chłopski sznur i sążeń mierzył i dzielił pańską ziemię. Ponad tysiąc mórg otrzymali wówczas byli fornale, małorolni i średniacy. Łowce przestały być wsią karłowatych, nierentownych gospodarstw. To znaczyło dużo, dla wielu wszystko, a przede wszystkim możliwość startu, już nie na pańskim, ale na swoim własnym zagonie.

W miarę rozwoju gospodarczego wsi rosły jej społeczno-socjalne zapotrzebowania. Pilną więc sprawą była organizacja ośrodka zdrowia. Pomyślano, uradzono, postukano tam, gdzie trzeba, i ośrodek już jest. Dzisiaj dla wielu ludzi jest to czymś normalnym i codziennym. Przywykliśmy już do wielu podobnych wygód i ułatwień. Dlatego często zapominamy o tym, skąd się one biorą i kto je nam daje...

Ot, chociażby na pozór taka drobna rzecz, jak telefon. W Łowcach jest nowa poczta, a całą dobę czynny aparat telefoniczny w razie wypadku oddaje mieszkańcom nieocenione usługi. Już w kilkanaście minut zjawia się na miejscu karteka pogotowia. Lekarz udziela pomocy, ratuje zdrowie, a nierzadko życie.

Oto wieś, która wyrosła. Pewnie, że nie wszystko układa się tak, jakby to sobie można wymarzyć. Jest jeszcze sporo do zrobienia. Przede wszystkim budowa domu kultury. Dotychczasowy nie nadaje się już do użytku. Aż przykro o tym mówić, tym bardziej, że już od kilku lat leżą w Łowcach zakupione na budowę domu cegły. Co gorsze, stosy tego cennego materiału zalegają bezużytecznie plac, poddane niszczycielskim działaniom aury. Jest także i zgaszone w dole wapno. Nie ma tylko z niezrozumiałych przyczyn zgody władz powiatowych na rozpoczęcie budowy, co nie tylko dziwi, ale i denerwuje. Bo jakżeż tu mówić o popieraniu czynów społecznych? Zwlekać już dłużej nie można. Sprawą tą powinna zająć się organizacja partyjna, jej członkowie, którzy dotychczas dali wiele dobrych przykładów nie tylko jako inspiratorzy, ale świetni wykonawcy wielu społecznych poczynań. Pilną i nie cierpiącą zwłoki sprawą jest zorganizowanie i — jak to się mówi — wciągnięcie w rytm życia całej wsi młodzieży, która, jak dotąd, nie za bardzo się do tego kwapi.

Niech mi wybaczą młodzi tych kilka słów prawdy. Bo przecież nie tylko zabawa, tańce i, co gorsza, butelka wina jest okazją do wyładowania drzemiącej energii. Młodzi mogą i muszą pokazać starszym, że umieją dotrzymać im kroku. Już na najbliższym zebraniu ZMW młodzież powinna zastanowić się nad właściwym planem pracy kulturalno-oświatowej. Jeśli czegoś sama nie będzie mogła rozstrzygnąć czy wykonać — niech zwróci się o pomoc do starszych. Z pewnością nie odmówią. Wydatnej też pomocy powinni udzielić młodym miejscowi nauczyciele.

Wierzę, że młodzież stać na więcej, na bardzo dużo. To dla niej przecież światło, dla niej szeroka droga na następne lata. Te minione — nie były zmarnowane. Czyn stwarzał zawsze czyn, trwałe dobro wsi, jej pracowitych, ofiarnych mieszkańców.

PUNKT ZWROTNY

URYWKI Z AUTOBIOGRAFII

KLAUSS MANN

Przełożył JAN KOPROWSKI

Od tłumacza:

Klauss Mann, powieściopisarz i eseista, najstarszy syn Tomasza Manna, w dniu 25 maja 1949 r. popełnił samobójstwo w Cannes. Miał wówczas 42 lata. Jego autobiografia, wydana najpierw w języku angielskim pt. „The Turning Point", a później w wersji poszerzonej po niemiecku pt. „Der Wendepunkt", stała się sensacją w świecie zachodnim. Przed rokiem S. Fischer we Frankfurcie nad Menem opublikował nowe wydanie tej autobiografii, z której pochodzą niniejsze fragmenty.

Moje życie nie pozbawione było pewnej regularności, prawie monotonii, pomimo przeróżnych dręczących niepokojów. Rzadko kiedy przerywałem moją pracę literacką, pisanie było dla mnie funkcją tak naturalną jak jedzenie, spanie, trawienie. Pisałem listy z podróży, recenzje z książek, krótkie opowiadania, wywiady, polityczne glossy. Moje artykuły, publikowane najpierw w gazetach i czasopismach, ukazały się później w osobnym tomie pod tytułem „W poszukiwaniu drogi". Napisałem powieść „Aleksander, powieść o Utopii". Była to historia macedońskiego bohatera. Mój bagaż podróżny zawierał pisma Homera, Ksenofonta, Arystotelesa. Gdziekolwiek wylądowałem — w Pradze, Zurychu, Juan-Les-Pins — wyciągałem natychmiast moje materiały do pisania, moją małą biblioteczkę podręczną i porządkowałem je w nerwowym pośpiechu.

* * *

W jednym z poprzednich rozdziałów niniejszej książki mówiłem już o tych twórcach, których gorące wyznania i apele formowały moje chłopięce życie uczuciowe. Byli to: Sokrates, Nietzche, Whitman i Novalis, Rimbaud i Stefan George, Rilke, Herman Baug, Wedekind, mój ojciec i Henryk Mann (żeby tylko wymienić nazwiska mi najbliższe i najważniejsze). W miarę upływu lat pojawiły się i inne wpływy. André Gide był jedną z największych fascynacji. Spotkanie z nim — nie z człowiekiem, lecz z jego dziełem, w którym ujawnia się ta bogata, kompleksowa osobowość — pomogło mi więcej, niż cokolwiek innego w odnalezieniu drogi do samego siebie.

Jeżeli podkreślam, że spotkanie z pismami Gide'a było dla mnie donioślejsze, niż z nim samym, to wcale nie ma oznaczać, że rozczarował mnie on jako człowiek. Przeciwnie: znajomość z nim zaliczam do najcenniejszych i najradośniejszych przygód mojego życia. Ale nie chciałbym wywołać wrażenia, że łączyły mnie z nim intymne przyjacielskie stosunki, lub że on sam zwracał na mnie jakąś szczególną uwagę. Zainteresowanie było jednostronne. Podziwiałem go, a on przyzwalał na to łaskawie.

Nasza znajomość jest starej daty. Wiosną 1925 roku złożyłem mu pierwszą wizytę, uzbrojony w list polecający od Ernesta Roberta Curtiusa. Niewiele jeszcze wówczas znałem z tego, co Gide napisał, jednakże znajdowałem się już pod jego urokiem. Mała proza poetycka — „Powrót syna marnotrawnego" w mistrzowskim przekładzie Rainera Maria Rilkego wystarczyła, aby dać mi pojęcie o bogactwie jego ducha, o wysublimowanej dyskrecji jego sztuki.

Gide zachował się wtedy wspaniale. Zaprosił mnie na śniadanie. Jedliśmy w małej restauracji rybnej w pobliżu Jardin du Luxemburg. Było to spotkanie pełne pogodnej rozmowy, rozkoszowałem się nim pełen wdzięczności i zadowolenia.

* * *

Do mitów naszego dzieciństwa należała piękna, rozhisteryzowana ciotka, aktorka Karola Mann, zmarła rzekomo na atak serca. Ale my wiedzieliśmy, że w domu matki zażyła trucizny i w straszliwych bólach zeszła z tego świata. Następną po niej była ciotka Lula, starsza od Karoli, ale młodsza od braci Henryka i Tomasza — ciotka Lula powiesiła się. Była zawsze bardzo mieszczańska i elegancka, zmanierowana aż do śmieszności, o matowych oczach i wąskich usteczkach, a przy tym w skrytości ducha lubiąca rozwiązłość, z melancholijną skłonnością do narkotyków i dobrze prezentujących się panów ze stanu średniego. Z jednej strony elegancja, robiona trochę na siłę, z drugiej — pragnienie morfiny i pieszczot. To zbyt wiele na jednego człowieka, nie wytrzymała napięcia i sięgnęła po środek ostateczny: pętlę na szyję. Wiadomość o jej śmierci nie zrobiła na mnie prawie żadnego wrażenia, nigdy się tą moją ciotką nie przejmowałem. Ale od tego momentu często byłem przy niej myślami bardzo jej współczując.

Klerykałowie i spirytyści twierdzą, że los samobójców na tamtym świecie nie jest wesoły. Wedle rozpowszechnionego poglądu czekają ich tam okropne rzeczy. Nie wydaje się to sprawiedliwe, skoro już ich ziemskie życie dało im się we znaki. Nie mówiąc o goryczy, jaką niesie przedwcześnie przywołana ostatnia chwila istnienia. Ciotka Lula nie zmarła zaiste śmiercią łatwą. Niechaj bólu, jaki sobie zadała, nie przeżywa tam w zaświatach. Gdybym umiał się modlić, modliłbym się za jej duszę.

Również ciotce Oldze życzę jak najlepiej. Była żoną brata mojej matki, Rosjanką z pochodzenia, malarką z zawodu, bardzo utalentowaną nie pozbawioną wdzięku i wesołości, ale na nieszczęście, wielkiego temperamentu i trudnego charakteru. Nie powiodło się jej w życiu, wyskoczyła z okna. Stało się to w Berlinie, niedługo przed zamachem hitlerowskim.

Podobnie postąpiła córka wiedeńskiego pisarza, Artura Schnitzlera — nie pomnę już tylko, gdzie to było: w Wiedniu czy w Wenecji? Szczegóły wyleciały mi z pamięci, wiem jedynie, że wszystko odbyło się jak w noweli sławnego ojca. Czyż nie pojawił się i tu włoski oficer i kochali i kłócili się oboje nad brzegiem rzeki? A potem padł strzał, zupełnie jak u Schnitzlera. Lecz on, który podobne rzeczy opisywał tak często i tak świetnie, teraz pokiwał głową: „Moje dziecko, moje dziecko... Po raz pierwszy muszę cię zganić za to, co zrobiłaś..."

Nie jest łatwo być dzieckiem geniusza. Najstarszy syn Hugo von Hofmannstahla, „Franzl", palnął sobie w łeb. Na krótko przedtem ojciec miał straszny sen, który opowiedział swoim najbliższym przy śniadaniu, nie zdając sobie w pełni sprawy z głębokiej tragiczności śnionego wydarzenia. Chodziło w tym śnie o kapelusz — codzienny, spacerowy kapelusz Hofmannstahla, który, jak zawsze, wisiał w przedpokoju. Gdy poeta podszedł, by go zdjąć — kapelusz nie dał się uchwycić. Nie, że wisiał za wysoko, albo że zrozpaczony właściciel był jakby przyrośnięty do ziemi. Po prostu nie można było dosięgnąć nakrycia głowy. I choć śmiertelnie przerażony poeta podskakiwał do góry i wyciągał ramiona — kapelusz umykał od niego jak żywy. Był to zły sen.

W dniu pogrzebu, gdy poeta szykował się, by pójść za trumną syna, nastąpiła rzecz niezwykła: sięgnął po cylinder i nie był go w stanie uchwycić. Wyciągnął rękę — kapelusz jakby się oddalił. Poeta runął na ziemię, zmarł. Czy atak apopleksji? Tragedia w stylu antycznym. Hugo von Hofmannstahla zabił jego sen i jego zgryzota. Może dlatego zmarł, że coś dojrzał za uciekającym kapeluszem. Jakiś znak, jakieś pismo na ścianie snu...

* * *

Opuściłem Niemcy 13 marca 1933 roku. Pytanie, czy nasze miejsce nie było w Trzeciej Rzeszy... Postawiłem je sobie i odpowiedziałem na nie. Odpowiedź brzmiała: nie.

Często się w życiu błądziło, często się tego, lub owego żałowało. W tym jednym wypadku postąpiliśmy słusznie, opierając się bardziej na instynkcie, niż na przeświadczeniu. Czyż nie mielibyśmy być za to wdzięczni naszemu losowi? Emigracja nie była dobra. Trzecia Rzesza była stokroć gorsza.

* * *

Podczas gdy Henryka Manna, Erikę i mnie oficjalnie już wygnano i wyklęto, sytuacja ojca nie była jeszcze wyjaśniona, przynajmniej w sensie techniczno-prawnym. Od momentu „przewrotu" nie wypowiedział się on publicznie w sprawie nowego reżimu, ale wiedzieliśmy, że stan jego jest okropny. Początkowo niekoniecznie zaliczał się on do emigrantów, wszakże nie myślał o tym, aby do Niemiec hitlerowskich wrócić. (Po paru miesiącach pobytu w Tessinie i dłuższym „postoju" w południowej Francji, jesienią 1933 roku osiedlił się w Küsnacht nad jeziorem zurykim). Jego książki nie były jeszcze w Niemczech oficjalnie zabronione. Ale już w r. 1933 nikt nie zdobył się na to, by w niemieckiej księgarni zażądać głośno utworów Tomasza Manna. Niepożądany, podejrzany autor, choć nie całkiem jeszcze wyklęty!

Tomasza Manna nie pozbawiono obywatelstwa, lecz jego niemiecki paszport, którego ważność wygasła, nie został mu przedłużony. Nowy paszport — jak głosiła odpowiedź urzędowa — mógł dostać na miejscu w Niemczech. W ten sposób władze próbowały zachęcić go do powrotu. Jednocześnie jednak skonfiskowano mu jego mienie, konto bankowe, monachijskie mieszkanie z księgozbiorem, meble, auto i wszystko, co było do wzięcia. „Zglajchszaltowana" prasa uczyniła go obiektem codziennych napaści.

Powrócić do takiej ojczyzny? Nie mógł się na to poważyć. Ale rozłąka była gorzka, o wiele bardziej gorzka dla niego, który tak był zakorzeniony w niemieckim stylu życia i tradycji, niż dla jego wychowanych i nastawionych internacjonalistycznie dzieci. Wyobrażenie sobie, że od swoich niemieckich czytelników zostanie odcięty na długo, jeśli nie na zawsze, sprawiało mu ból i cierpienie. To, co nieuniknione próbował odsunąć od siebie możliwie jak najdalej. Erika i ja przynaglaliśmy go, zapewne niepotrzebnie. Rozwaga w postępowaniu była przyrodzoną cechą jego duchowej osobowości.

Potrzebował czasu. Rok, dwa lata, wreszcie stało się. Jedna z gazet szwajcarskich wydrukowała felieton dyskredytujący niemiecką literaturę emigracyjną, przy czym autor felietonu stwierdził, że Tomasza Manna nie należy zaliczać do tej kategorii pisarzy. Tomasz Mann zareagował na artykuł od razu, opowiadając się w sposób jednoznaczny po stronie emigracji. Hitlerowcy wyciągnęli z jego postępku konsekwencje: autor „Buddenbrooków", zgodnie z zarządzeniem władz Rzeszy, przestał być obywatelem niemieckim. Wraz z nim stracili niemiecką przynależność państwową jego żona, Katarzyna Mann, z domu Pringsheim, Golo, Monika, Eliza i Michał Tomasz.

* * *

Dlaczego napisałem powieść „Mefisto"? Bohaterem tej mojej trzeciej książki, ogłoszonej w 1936 roku na wygnaniu, jest pewna, bardzo niesympatyczna figura. Aktor, którego w niej przedstawiam, posiada wprawdzie talent, ale niewiele ponadto, co by za nim świadczyło. Brakowało mu zwłaszcza pewnych cnót, które stanowią o charakterze człowieka. Zamiast charakteru, miał ów Hendrik Hofgen jedynie ambicję, próżność, żądzę sławy, pęd do efektu. To nie był człowiek, to był komediant.

Czy warte było trudu pisanie powieści o takiej kreaturze? Tak. Albowiem ów komediant stał się kimś eksponowanym, stał się symbolem całkowicie komedianckiego, głęboko zakłamanego, bezprawnego reżimu. Ten mim triumfował w państwie kłamców i obłudników. „Mefisto" to powieść o karierze w Trzeciej Rzeszy.

* * *

Mały domek w Santa Monica, gdzie z moim skośnookim towarzyszem spędzam tegoroczne lato przeznaczenia, wyposażony jest w aparat radiowy. Od rana do późnej nocy informuje nas dramatyczny, lub mroźnie rzeczowy głos o postępującym kryzysie w sytuacji międzynarodowej. Najtrudniejsza do pojęcia była wiadomość o niemiecko-rosyjskim pakcie nieagresji. Czy to nieuniknione następstwo polityki zachodniej, która w swoim działaniu i zamiarach zawsze była wroga Moskwie, zawsze profaszystowska? Czy to logiczna konsekwencja „appesement" i „Monachium"? Zapewne. Ale mimo to doznaje człowiek uczucia przykrości, gdy widzi fotografie pana Ribbentropa w rozmowie ze Stalinem i Mołotowem. A Hitler wysuwa znowu „ostatnie żądanie terytorialne", tym razem pod adresem Polski. Czy wjedzie on triumfalnie do Warszawy tak jak do Wiednia i Pragi? Czy Chamberlain znajduje się już w drodze do „Berghoff"? Duża nerwowość w Londynie i Waszyngtonie. Szantażujące pobrzękiwanie szabelką, groźna histeria w Berlinie i Monachium. A w Paryżu zmęczone wzruszenie ramion: „Mourir pour Danzig? Ca alors... après tout..."

* * *

Napływają obfite wiadomości z Francji, same wołania o pomoc, desperackie prośby o amerykańskie wizy, pieniądze etc. Wszyscy chcą do Stanów Zjednoczonych. Telefony i listy nadchodzące z Nicei, Marsylii Vichy, Perpignon, Casablanki. Kilku przyjaciół znalazło się już w Lizbonie, a więc tymczasem bezpieczni. Inni w całkowitym ukryciu, mianowicie zmarli i pogrzebani. Nowa epidemia samobójstw. Ernest Weiss należy do tych ofiar. (Czy powiedziałem mu kiedykolwiek, jak bardzo podziwiam jego ostatnią powieść „Biedny rozrzutnik"?). Pozbawił się również życia Walter Hasenclever, stary przyjaciel, którego jakże chętnie znowu bym zobaczył. I Walter Benjamin, mniej mi sympatyczny, chociaż ceniłem zawsze jego wspaniały intelekt. Czy literatura niemiecka ozdrowieje kiedyś po tym strasznym upływie krwi?

KAROL JAWORSKI

Gdańskie kwiaty

GDAŃSK jest stary i młody. Patyna wieków jego zabytkowych budowli rozwiała się z dymem pożogi wojennej, lub legła pod gruzami. Tylko nieliczne ocalałe częściowo budowle, jak np. Ratusz Głównomiejski, noszą ślady tej patyny, która krakowskim czy lubelskim gmachom, w rodzaju Trybunału na Rynku, nadaje historyczne dostojeństwo. Dziś odbudowane w swoim dawnym kształcie kamieniczki Starego Miasta, Drogę Królewską między Bramą Wyżynną i Bramą Złotą, pokrywa kurz, unoszący się nad miastem: kurz świeżej daty. Trwają bowiem prace nad poszerzeniem głównej arterii miasta, przenoszeniem torów tramwajowych.

Na placu noszącym nazwę Targ Drzewny porządkuje się otoczenie budującego się teatru i ustawia pomnik Jana Sobieskiego, który zawędrował tu po latach ze Lwowa. Stąd będzie miał blisko do Kaplicy Królewskiej i kto wie, może w księżycowe romantyczne noce będzie tam spieszył na spotkania z Marysieńką. Nie ujdzie to zapewne uwadze króla Zygmunta Augusta, który ze szczytu Ratusza Głównomiejskiego obserwuje wszystko, co się dzieje w mieście. Również i Złota Kamienica, wznosząca się u jego stóp mruga porozumiewawczo swoimi złoceniami na turystów, którzy robią sobie pamiątkowe zdjęcia na tle stojącego obok i tryskającego wodą z trójzęba pana mórz — Neptuna.

Swego czasu Miejska Rada Narodowa rzuciła hasło: „Gdańsk miastem kwiatów". Trzeba powiedzieć, że kwiatów jest tu dużo na licznych zieleńcach i skwerach. Ale najpiękniejsze tulipany rosną przed b. pałacem Ligi Narodów, gdzie dziś mieści się klub studentów Wybrzeża — Żak. A studentów w Gdańsku jest ok. 16 tysięcy. Właśnie niedawno obchodziła swoje dwudziestolecie Politechnika. Co ósmy inżynier w Polsce ma dyplom tej uczelni. Świętują swoje dwudziestolecie Opera i Filharmonia Bałtycka, radiowa rozgłośnia i wiele innych instytucji naukowych, kulturalnych i gospodarczych. W końcu marca, w przeddzień 20 rocznicy wyzwolenia Gdańska odbył się w Starym Ratuszu ślub 20 par dwudziestolatków. Wspomnieć tu należy, że po wojnie urodziło się w Gdańsku ponad 120 tysięcy nowych mieszkańców. Tak więc ślub 20 młodych par zapoczątkował gdański rok dwudziestolatków.

W okresie tych dwudziestu lat wartość produkcji przemysłowej w Gdańsku wzrosła dwunastokrotnie, odbudowano, bądź zbudowano od podstaw, 120 zakładów, w stoczniach zbudowano 817 statków pełnomorskich, ludność miasta wzrosła o 67 tys. w stosunku do roku 1938 (dziś liczba mieszkańców wynosi ponad 300 tys.), zbudowano 140 tys. izb mieszkalnych, 81 szkół podstawowych, średnich i zawodowych, a w czterech wyższych uczelniach wykształcono ponad 20 tys. specjalistów — inżynierów, lekarzy, farmaceutów, nauczycieli i artystów.

Można wymienić jeszcze wiele liczb, obrazujących rozwój i dynamikę gdańskiej gospodarki, kultury, demografii. Dominantą gospodarki jest jednak przemysł stoczniowy — Stocznia Gdańska, Stocznia Północna, Stocznia Remontowa, zatrudniające kilkanaście tysięcy pracowników — i port. Trasy żeglugowe floty handlowej, którego portem macierzystym jest Gdańsk, obejmują dziesięć linii: bombajską, bengalską, chińską, indyjską, lewan-

(Dokończenie na str. 11)

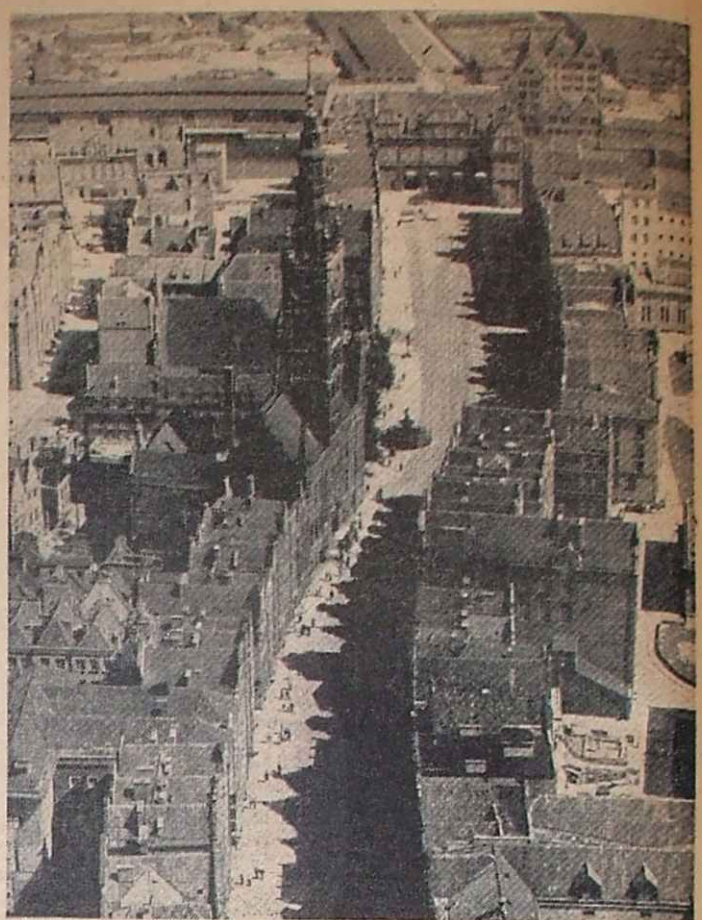

Gdańsk — ulica Długa *Fot. Z. Kosycarz*

TADEUSZ BARTOSZ

Od „Festung Breslau" do Wrocławia

WROCŁAW znajdujący się w niemieckich rękach zdobywały wojska pułkownika Wasyla Skopenki, tego samego, który pięknym manewrem strategicznym ocalił Sandomierz. Nie mógł w podobny sposób dowódca radziecki ocalić śląskiego miasta. Nie pozwolił na to bezmyślny i straceńczy upór hitlerowskich faszystów, którzy poświęcali swej obłąkańczej pasji dzielnicę za dzielnicą.

Relacje o tym zawiera dziennik niemieckiego księdza-patrioty Paula Peikerta. Oto wyjątki:

„...Rosjanie dali komendantowi twierdzy ultimatum, aby poddał miasto w ciągu 24 godzin. Ultimatum pozostaje bez odpowiedzi. Huk licznych detonacji od wysadzania bloków mieszkalnych w śródmieściu... Domy wysadza się w powietrze nie zabezpieczywszy uprzednio w jakikolwiek sposób wyposażenia mieszkań, bielizny, mebli, pamiątek rodzinnych...

...Na Kaiserbrücke spotkałem żołnierza z Volkssturmu, dobrego katolika z mojej parafii. Należy do Sprengkommando. Zadaniem jego oddziału jest wysadzanie w powietrze co wieczór o godz. 20 willi w południowych rejonach Wrocławia. W słowach pełnych oburzenia opisywał mi jak to marnuje się cenne dobra w chwili, gdy zostaliśmy kompletnymi nędzarzami.

...Krążą pogłoski, że radca duchowny, dr Netzger, proboszcz z Ciążyna, został zastrzelony. Gdy Rosjanie wtargnęli do tego przedmieścia Wrocławia, wyszedł naprzeciw i podał im ręce. Gdy Rosjan znów odparto, ktoś złożył doniesienie o jego postępku, skutkiem czego rozstrzelano go...

...Okazuje się, że zniszczenia na przedmieściu południowym są niezwykle duże... Urocze dworki letnie obróciły się częstokroć w ruinę, co jest głównie dziełem naszej artylerii, która z centrum miasta ostrzeliwała przedmieście. Dotychczas nieprzyjaciel oszczędził miastu bomb i pocisków zapalających.

...Im wcześniej przyjdą Rosjanie, tym rychlej skończy się dzieło zniszczenia, którego sprawcą jest przede wszystkim nasze dowództwo...

...Należałoby sobie życzyć, by Rosjanie zdobyli Wrocław, co jest gorącym pragnieniem wszystkich mieszkańców... Na Wrocław Rosjanie nie dokonali tak potężnych nalotów, jakie przeżyły miasta zachodnie, na które leciało 1000 i więcej bomb. W takim wypadku Wrocław byłby jedną kupą gruzu...

...Płonęła ciągle jeszcze południowa część Gartenstrasse i wielki dom handlowy AWAG, dawniej Wertheim. Nad Scheitniger Stern zaś gorzeją gigantyczne ognie podpalonych ciągów zabudowań... Zza Dworca Głównego w okolicach Hubenstrasse i Herdeinstrasse widok olbrzymiego pożaru. Podpalono tam bloki mieszkalne razem z całym sprzętem domowym i potężne kłęby dymu unosiły się ku niebu... Jakże zbył się kultury i zdziczał wewnętrznie człowiek niemiecki przez narodowy socjalizm..."

• • •

Cofający się pod naporem radzieckiej armii hitlerowcy, w środku zimy wypędzali swych ziomków z wsi i miast dolnośląskich. Wrocław i ziemie zachodnie zamieszkiwało wtedy 9 mln Niemców. Z tego ponad 6 mln opuściło swoje domy. Bezsensowny, obłąkany opór hitlerowców sprawił, że Wrocław zniszczony został w 75 procentach, że zostało w nim 12 mln metrów sześciennych gruzu. Nie inny los spotkał wiele mniejszych miast Dolnego Śląska — Legnicę, Głogów, Brzeg, Oławę, Nysę.

• • •

Zaraz po wojnie nazywaliśmy Dolny Śląsk ziemią spaloną. Ujrzałem jedno z popielisk tej ziemi, Wrocław, w tych pierwszych i ciężkich miesiącach, gdy w maju 1945 r., będąc wysłannikiem katowickiej „Trybuny Robotniczej", oglądałem dymiące jeszcze domy.

Frau Żokowa mieszkała przy ul. Ogrodowej — Gartenstrasse. Czy była Polką? Chyba tak. Rodowód swój wyprowadzała z Górnego Śląska, gdzieś chyba od Bytomia, Gogolina, Góry św. Anny. Ale od lat siedziała tutaj, przy swoim mężu, robotniku kolejowym na wrocławskim Bahnhoffie. Frau Żokowa opowiadała mi w nieskończoność o wszystkich potwornościach osiemdziesięciu dni „Festung Breslau". Pobożna Ślązaczka znała księdza Peikerta, Niemca-patriotę, dzielącego cierpienia swoich wiernych.

Wiele razy potem już bywałem we Wrocławiu. Ani razu nie zobaczyłem jednak gadatliwej Frau Żokowej, nie dociekłem, gdzie losy ją poniosły: czy wróciła do swojego „Altreichu" na „Górny Śląsk", czy też, jak ksiądz Peikert, z rzeszą Niemców pociągnęła na zachód, do przyszłej bońskiej republiki...

• • •

W kwietniu 1965 przyjechałem do Wrocławia. Nie byłem tu dobrych kilka lat. Stawałem u wylotu gmachu dworcowego, usiłowałem w pamięci odczytać, odtworzyć sobie tamten obraz Wrocławia, relief jego okaleczonych, zamaskowanych budynków, korytarze ponure ulic. Przed oczami miałem przepiękne europejskie miasto, świeże świeżością odbudowy, pulsujące żywym, zdrowym pulsem pracowitego a uregulowanego życia.

Zastępca naczelnego architekta Wrocławia, inżynier Alojzy Kulicz, mieszka tutaj od 1945 roku. Wędrowaliśmy jednego dnia po nowym wielkim mieście, oglądaliśmy wspaniałe polichromie w odbudowanej katedrze, słuchałem jego opowiadania o dziejach, stopniach, etapach i dalszych nowych obszarach zabudowy. Staliśmy na ulicy, ja spytałem inżyniera o ulicę Ogrodową, o tę Gartenstrasse Frau Żokowej. Inżynier roześmiał się: „Kpisz pan, czy o drogę pytasz? Przecież ta Świerczewskiego, na której stoimy, to właśnie Ogrodowa..."

Inżynier Kulicz powiedział pięknie, że architekta powinna cechować „bezczelność tworzenia". Miał na myśli grupę wrocławskich architektów, tworzących fantastyczne budowle, najzupełniej nieoczekiwane rozwiązania urbanistyczne. Oglądałem jedno z takich dzieł tego „bezczelnego tworzenia" — trzonoliniowiec, a jak mówią wrocławianie — „dom na sznurkach".

Wyobraźcie sobie budowę kilkukondygnacjowego bloku, poszczególnymi piętrami podciąganego do góry na czterech grubych stalowych linach. To prawdziwa budowa majstersztyk techniki budownictwa jakbyś rozciągał miechy akordeonu. Liny zostaną tam, oczywiście, na zawsze. Konstruktor tego bloku, inż. Skorupa z Politechniki, podobno już osiwiał, bo ile było kłopotów, sceptycznych uśmiechów różnych niewiernych Tomaszów... Żaden zakład nie chciał zrobić lin, podnośników. Inżynier jednak zwyciężył.

• • •

Dzisiejszy Wrocław ma dwadzieścia dwa tysiące hektarów powierzchni. Podobno za króla Bolesława Chrobrego gród Wrocisław siedział nad Odrą, *„rzeką, która odzierała brzegi, która się przedziera przez kraj, tworząc rozlewiska wodne, tak zwane odrzyska"* tylko na dwudziestu hektarach, a potem za książąt Śląskich Henryków na 60, na 120 i wreszcie po przyłączeniu Nowego Miasta — na 160.

Kiedy we wrześniu 1939 hitlerowskie bombowce startowały z lotnisk polowych Lubina i Polkowic, leżących w dzisiejszym legnickim zagłębiu miedziowym, na polskie miasta, Wrocław nie bombardowany, kwitnący życiem i bogactwem, liczył ponad 630 tys. mieszkańców. Dzisiejszy Wrocław zamieszkuje już 475 tys. Polaków, którzy w ciągu 5 lat od upadku „Festung Breslau" doprowadzili tutaj 182 tys. izb do stanu używalności. W 1980 roku Wrocław będzie miał 700 tys. mieszkańców, a możliwości dalszej rozbudowy, zaludnienia są bardzo duże.

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Nie tylko o „Kamenie"

KSIĄŻKA Kazimierza Andrzeja Jaworskiego „W kręgu Kameny" ofiarowuje pasjonującą lekturę czytelnikom różnego autoramentu. Przede wszystkim zabiorą się do wspomnień założyciela, redaktora i wydawcy najstarszego z istniejących czasopism literackich w Polsce, wyboru artykułów i listów pisarzy-przyjaciół „Kameny" — więcej i mniej profesjonalni znawcy, historycy międzywojennego dwudziestolecia, arcyciekawego okresu nie tylko w życiu literackim. W skromnym zewnętrznie piśmie, wydawanym w prowincjonalnym Chełmie Lubelskim, zawarł się przecież wcale nie miniaturowy obraz polskich lat 1933—39, na szpaltach „Kameny" skrzyżowały się wespół z prądami artystycznymi, kierunkami poetyckimi, także i tendencje polityczne, a dalekie od krzykliwości, niemniej konsekwentne ustawienie się pisma (właściwie: redaktora i współpracowników) po lewej stronie barykady nie było czczą, werbalną tylko etykietką.

Ale i literacki obraz dwudziestolecia, zawarty w międzywojennej „Kamenie", rysuje się bardzo charakterystycznie, barwnie i plastycznie tak we wspomnieniach K. A. Jaworskiego, jak i w uzupełniających je i poszerzających wybranych tekstach i listach współpracowników pisma. Był to krąg twórców bardzo szeroki, wielce dla literackiego międzywojnia reprezentatywny, a zarazem bardzo odległy od snobistycznego eklektyzmu, na którym wspierała się rekrutacja piór do takich np. „Wiadomości Literackich". Julian Przyboś obok Juliana Tuwima, Ignacy Fik nieopodal Włodzimierza Pietrzaka, Jan Brzękowski koło Stanisława Czernika (by ograniczyć się do tych tylko, wybranych na chybił trafił, różnych jednak aż do przeciwstawności w postawach artystycznych pisarzy) — to nazwiska, które na innych szpaltach byłyby tylko ozdobnikami lub ciekawostkami. Inaczej działo się w „Kamenie", piśmie, które wynagradzało swoich współpracowników wyłącznie przyjemnością ujrzenia własnej pracy w druku, bo na płacenie nawet najskromniejszych honorariów nie było wydawców stać: tutaj publikować mógł każdy, kto miał w literaturze naprawdę coś czytelnikowi do powiedzenia, a już sprawą (i zasługą) K. A. Jaworskiego było umieszczenie takiego tekstu w określonym wątku koncepcyjnym, czy dyskusyjnym.

Z tych właśnie wątków wyniki bynajmniej nie zaplanowany z góry (i pewnie dlatego, a także dzięki skromności autora ukryty między wierszami jego wspomnień), tym więcej przecież autentyczny program literacki „Kameny". Propagowanie dobrej poezji można zamienić — jak na to wskazuje nie tylko polskie i nie tylko współczesne czasopiśmiennictwo literackie — w pięknie, ale pusto brzmiący ogólnik: dla „Kameny", dla K. A. Jaworskiego konkretnie, była to powszednia praktyka redakcyjna, bez której nie ujrzałoby druku może wiele dobrych utworów, ale na pewno — jeszcze więcej wartościowych i potrzebnych przekładów poetyckich. Można śmiało powiedzieć, że bez „Kameny", bez jej chętnego i inspirującego pośrednictwa, poezja francuska, rosyjska, czeska itd. nie byłaby tak znana i czytywana nie tylko w międzywojennym dwudziestoleciu, ale i obecnie, wiele bowiem tłumaczeń, które ukazały się pierwszy raz przed wielu laty w skromnych, szarych zeszycikach, drukowanych z niepospolitymi trudnościami technicznymi i ekonomicznymi w Chełmie Lubelskim — rozeszło się stamtąd na całą Polskę i poza jej granice, dotrwało do dziś bez śladu anachronizmu i pojawia się w najnowszych publikacjach i antologiach. Toteż lektura wspomnień K. A. Jaworskiego jest pasjonująca tak dla obserwatorów, historyków nie tylko polskiej tradycji literackiej, jak dla miłośników nigdy nie starzejącej się sztuki poetyckiej, umiejętność budzenia i wykorzystywania lirycznego wzruszenia.

Tych pasjonujących momentów, znajdujących się „W kręgu Kameny" a wymagających dopowiedzenia, wyakcentowania wskutek sprawiedliwej dla innych, ale niesprawiedliwej dla siebie i własnego dzieła skromności autora wspomnień, znalazłoby się bez trudu wiele więcej, by wymienić jeszcze przykładowo pisarzy niesłusznie zapomnianych, bądź przemilczanych (w rodzaju np. Franciszki Arnsztajnowej, Tadeusza Bocheńskiego, Sergiusza Kułakowskiego i in.), którym dopiero wierne pióro K. A. Jaworskiego oddało zasłużoną sprawiedliwość. Jednego jednak problemu przemilczeć nie wolno, dzięki niemu zresztą książka K. A. Jaworskiego okazuje się lekturą w równym stopniu pasjonującą, co instruktywną. Można ów problem nazwać rozmaicie: antyprowincjonalizmem, mniej modnym, zato więcej rozumnym regionalizmem — ja jednak najchętniej, chociaż już zupełnie niemodnie, nazwałbym go żarliwym, ale rozważnym społecznikostwem. Cała międzywojenna „Kamena", jej wyliczone przeze mnie powyżej przykładowo i niekompletnie wartości i zasługi, wywodzi się właśnie z tak mądrze, odważnie i uczciwie pojmowanego i praktykowanego społecznikostwa niewielkiej grupki ludzi, wśród których obok K. A. Jaworskiego godzi się wyróżnić „plastycznego" współtwórcę pisma, tragicznie zmarłego w czasie wojny Zenona Waśniewskiego (wspomnienia o nim należą do najbardziej wzruszających, prawdziwie sercem pisanych partii omawianej książki).

To społecznikostwo, autentyczne i wytrwałe „mierzenie sił na zamiary" przydaje zresztą omawianej publikacji tyleż oryginalnego romantyzmu, co posmaku nie zamierzonej również przez autora sensacji czy zgoła fantastyki: jakże bowiem w innych kategoriach pojmować i oceniać powołanie do życia pisma bez dotacji, bez etatów, bez zaplecza technicznego, bez możnego mecenasa, bez życzliwości miejscowych i pozamiejscowych tzw. czynników, bez głośnej klaki i cichego patronatu nie tylko artystycznych koterii, pisma, które bez tego wszystkiego potrafiło osiągnąć tak wysoką i dobrze zasłużoną lokatę wśród międzywojennych periodyków i przetrwać (wśród zmiennych, co prawda, fluktów) aż do dziś dnia jako najstarsze wychodzące polskie czasopismo literackie! Oczywiście, zmieniły się czasy i warunki, nie mówiąc o ludziach, traktowanie lekcji, zawartej „W kręgu Kameny" jako tekstu nadającego się tylko do papuziego, mechanicznego powtórzenia, byłoby niewybaczalnym, niekoniecznie tylko pedagogicznym, błędem; jednakże to jest lekcja dobrej, społecznej roboty, z której wiele by mogli skorzystać, gdyby tylko chcieli, niejedni wydawcy i redaktorzy regionalnych czasopism...

Dobrze więc się z wielu, nie tylko regionalnych, względów stało, że Wydawnictwo Lubelskie umożliwiło wspomnieniom K. A. Jaworskiego ukazanie się. Miałbym tylko pretensje do niezbyt starannej korekty tekstu i do nie najszczęśliwszej — przynajmniej na mój gust — graficznie okładki książki, która zasługiwała na pewno (tak jak wydana swego czasu przez Wyd. Poznańskie analogiczna publikacja Stanisława Czernika o „Okolicy Poetów") na solidną, płócienną oprawę. Ale, być może, ta ostatnia pretensja trafia pod niewłaściwy adres...

Kazimierz Andrzej Jaworski: W KRĘGU KAMENY. Lublin 1965, Wyd. Lubelskie, s. 396, nakład 3000 egz., cena 29 zł.

Gdańskie kwiaty

(Dokończenie ze strony 10)

tyńską, zachodnio - śródziemnomorską, czarnomorską, bliskowschodnią, albańską i skandynawską. Niektóre z tych linii obsługiwane są przez statki o nośności 10 tys. ton, należące do Polskich Linii Oceanicznych, Polskiej Żeglugi Morskiej i kilku zagranicznych armatorów. Jeśli przed wojną port gdański mógł przyjmować statki o zanurzeniu do 27 stóp, to dziś przyjmuje statki o zanurzeniu do 32 stóp, inaczej mówiąc — z ładunkiem 30 tysięcy ton (przed wojną statki z ładunkim od 10 tys. ton w ogóle tu nie zawijały). Liczby te mówią same za siebie.

Nie jestem zwolennikiem zbyt obfitego wyliczania liczb. Niewielka ich garść jest jednak potrzebna dla zobrazowania pewnych etapów rozwoju i stanu obecnego. Kto umie patrzeć, dojrzy w tych liczbach emocjonalny ładunek niesiony przez życie. Matematycy i statystycy liczą rozwój na kilometry dróg, linii kolejowych, czy tony towarów. W jakich jednak liczbach wyrazić zadowolenie i radość towarzyszące osiągnięciom?

Kiedyś, przed laty, krążył w Gdańsku dowcip: „Co wydali literaci gdańscy? Dwie córki za mąż". Ale to było dawno i nieprawda. Gdańscy literaci mają na swoim koncie wiele wydanych i udanych książek. Sprawnie działa Wydawnictwo Morskie, które może się wykazać wcale pokaźnym dorobkiem. Do czołówki krajowej zalicza się Filharmonia i Opera Bałtycka, która wystawia obecnie „Pana Twardowskiego" Ludomira Różyckiego. Teatr „Wybrzeże" wystawił niedawno sztukę E. Albee „Kto się boi Wirginii Woolf?", a teraz na sopockiej scenie wystawia sztukę Marka Domańskiego „Ktoś nowy" w reżyserii Jerzego Golińskiego. Również i plastycy gdańscy nie zasypiają gruszek w popiele. Ewenementem jest obecnie ogólnopolska wystawa młodej plastyki w Sopocie.

W coraz szybszym tempie następuje integracja trzech miast — Gdańska, Gdyni i Sopotu. Nazwa Trójmiasto stała się już powszechna. Wyrazem tej integracji jest utworzony wspólny dla tych trzech miast wydział kultury — międzyresortowy organ rad narodowych.

Trudno w krótkim liście zawrzeć 20 lat rozwoju i osiągnięć tak prężnego miasta, jakim jest Gdańsk. Trzeba tu przyjechać i zobaczyć na własne oczy Starówkę ze Złotą Kamieniczką i Dwór Artusa, Osiedle Młodych i Przymorze.

Serdecznie zapraszam!

Karol Jaworski

Michał Skalenajdo

MOJE LIPCE

(Dokończenie ze str. 4)

tylko podziwiać, jak nasze dekoracje zdobiły szeregi delegacji rzeszowskiej i kieleckiej. Tak oto zapoczątkowaliśmy — nieświadomi przyszłości — wymianę kulturalną między wschodnimi województwami.

Rok 1961

Był to pierwszy lipiec spędzony poza granicami kraju. W połowie tego właśnie roku znalazłem się dość niespodziewanie na Węgrzech. I to służbowo. Ktoś z warszawskiego kierownictwa macierzystej redakcji wpadł na genialny pomysł wysłania mnie na kilkutygodniowy staż do pokrewnej budapeszteńskiej placówki. Jakże było się nie cieszyć! Taka gratka trafia się przecież raz na parę lat, albo wcale. Nie uważałem siebie nigdy za szczęściarza, tym razem jednak byłem skłonny nawet w to uwierzyć. Zwłaszcza, że w ciągu czterotygodniowego pobytu na węgierskiej ziemi zwiedziłem niemal cały kraj. Przejechałem go wzdłuż i wszerz, nie opuszczając po drodze żadnego większego miasta, ani ciekawszego regionu. Końcówkę tego służbowo-turystycznego wojażu spędziłem tradycyjnie nad Balatonem. Wcale to sobie chwaliłem. I nie starałem się ukryć błogiego zadowolenia. Reakcja moich węgierskich opiekunów była bezbłędna.

— Zostań jeszcze kilka dni, nic przecież nie stanie się, jeśli wrócisz trochę później — namawiali. Niestety, 22 lipca musiałem być w Warszawie. Tak życzyli sobie moi szefowie. Nie mogłem sprawić zawodu. Trzeba było wracać do Budapesztu, a stąd samolotem do kraju. I to w przeddzień lipcowego święta.

Na budapeszteńskie lotnisko odprowadzono mnie gremialnie. Tradycyjny „strzemienny" w bufecie portu, i ostatnie upominki. W tym czasie lunął rzęsisty deszcz. Liczyłem już w skrytości ducha, że lot zostanie odwołany. Okazało się, że nie doceniałem bułgarskich lotników, którzy obsługiwali tę linię. Kazano nam wsiadać do samolotu. Nie było rady. Startowaliśmy w potokach ulewy. Miałem chyba wówczas niezbyt wyraźną minę. Wkrótce jednak powróciła słoneczna pogoda i lot kontynuowaliśmy bez sensacji. Zaczęło się dopiero nad Warszawą. Najpierw jedna, potem druga, trzecia runda nad Okęciem. Lotnisko tonęło w powodzi flag. Dlaczego nie lądujemy? Co to ma znaczyć ta świąteczna oprawa? Byliśmy zaniepokojeni. Wkrótce sprawa wyjaśniła się. Okęcie czekało na przyjęcie specjalnego samolotu wiozącego pierwszego kosmonautę świata — Jurija Gagarina. Nasz „pasażer" otrzymał polecenie lądowania w Poznaniu. Ładna perspektywa. Nie tylko minąć się tak fatalnie z okazją zobaczenia kosmonauty, ale również wracać pociągiem z Poznania do Warszawy? I kiedy pilot wykonując posłusznie rozkaz kapitanatu portu, brał już kurs na zachód, nadeszło odwołanie. „Macie jeszcze 15 minut, lądujcie". Tak sprawnego lądowania i pozbycia się pasażerów przez obsługę samolotu dawno nie widziałem. Nawet celnicy okazali się wyjątkowo wyrozumiali. Odprawa odbyła się błyskawicznie. Bez żadnych ceregieli, otwierania walizek i rodzajowych pytań: co tam pan ma do oclenia? I pomyśleć, wystarczyło tylko jedno nazwisko: Gagarin!

TADEUSZ ANTONI MASŁOWIECKI

Ludzie i drzewa

Las się pojawił teraz myślę
o każdym drzewie aby dać jeść
i ogrzać
— do ust roślinnych smak ziemi
i powietrza
przeżuwać szczękami zachód słońca
szczęki jak groby
woda śpiewa w każdej kropli

Szukam roślin naiwnych z oczami
dziecka
szukam matki głodnej sosenki
czyżby ścięli na trumnę

Jest w domu moim stół
na którym piszę wiersze
może to on jest ciałem starej sosny
z której wybiegł ten las
Stół się robi bardzo prosto
zabija się drzewo odcina się łeb
ręce nogi zdziera się skórę
(ludzie nie słyszą płaczu. Topory
to nasze zęby i pazury)

Więc ludzie chodzą do lasu po stoły
krzesła komody i trumny
a las wciąż myśli
że rośnie na naszych grobach

Białystok

BOGDAN PASTERNAK

Dzień pracy

Wołanie syreny i perkusja nóg
[w ulicach
budzi powszedni dzień pracy
Wiatr lekkim rzutem
syple z drzew jesienne talary
Poszedłbym z Wami
w miasteczko grających maszyn
tworzyć świat nowych rzeczy.

Kielce

LONGIN JAN OKOŃ

Wieczór

Gwoździami gwiazd obite noce.
Nad łąką mleczna topiel wisi.
W spłakanej trawie stopy moczę
do głębi zasłuchany w ciszy.

Jedyny żabi dźwięk klawiszy
na dłoniach wiatru w dal się toczy.
Nabrzmiewa w sercu pocisk mocy —
uczuciem pewnie buchnie w ciszy.

Złociste igły z gwiazd opadłe
szyją słomiane strzechy chałup.
Nad brzegiem rzeczki cicho siadłem
wsłuchany w wieczór duszą całą.

Chełm

KRZYSZTOF WOLICKI

Każdy histeryzuje w samotności

Warszawscy bywalcy teatralni przeżyli pouczający sezon. Ponieważ bardzo możliwe, że w nadchodzących miesiącach naukę tę udostępnią swym widzom również inne ośrodki — poniższe gwoli uprzedzenia.

Teatralna Warszawa lubi teatr aktorski, kameralny, dość prywatny, gęsty od dramatów osobistych lub choćby towarzyskich plotek. Lubi, wie, że lubi, powtarzają jej to od wielu lat krytycy i recenzenci. Toteż teatralna Warszawa na długie tygodnie z góry wykupowała komplety w „Dramatycznym" i „Współczesnym", swoich ulubionych teatrach, kiedy na afiszach pojawiły się Millera *„Po upadku"* i Albee'ego *„Kto się boi Wirginii Woolf?"* Recenzenci zrobili swoje, to znaczy reklamę, jako, że pisali dużo, a kiedy recenzenci piszą dużo, jest to zawsze reklama. Kto ciekaw, przeczytał, nie będziemy się więc zbyt długo powtarzać. Ludwik Rene w „Dramatycznym" inscenizował Millera pomysłowo, z rozmachem, Jerzy Kreczmar Albee'ego dyskretnie i kulturalnie. Świderski i Czyżewska jako bohaterowie Millera byli parą znakomitą choć dyskusyjną, Kreczmar (Jan) i Gordon-Górecka we „Współczesnym" parą znakomitą bez dyskusji. Jakkolwiek by ważył — oba teatry spisały się doskonale: i reżyserzy, i aktorzy, i mechanicy sceny, i nawet organizatorzy widowni. Zatem brawo dla teatrów? Jeśli chcecie, brawo dla teatrów. Ale dla ich kierowników literackich? Tu właśnie zaczyna się lekcja.

Tworzywem tematycznym obu utworów są dzieje nieudanych małżeństw, w których partnerów łączy hae-love, nienawistna miłość. Temat, jak temat, w niczym nie stanowi o jakości. Koniec końców, znana tragedia starego Greka o Agamemnonie i Klytajmestrze też była historią nieudanego małżeństwa.

Miller wyrósł z Wielkiego Kryzysu i Wielkiej Wojny, Albee jest dzieckiem Wielkiej Prosperity i Stabilizacji, mimo to jednak obaj mają dziś do swego świata pretensje dość podobne, obaj reprezentują tę samą w gruncie rzeczy, choć przesuniętą w czasie formację socjologiczną: amerykańskiego „źle przystosowanego" inteligenta. W ten sposób, zarówno *„Po upadku"*, jak i *„Kto się boi Wirginii Woolf?"* są nie tylko małżeńskimi historiami, lecz również wykładem takich pretensji. Z całą ich ambiwalencją: gdyż pretensja do świata przekształca się tu w rodzaj samokrytyk: i z powrotem.

Aby dopowiedzieć resztę podobieństw: obie sztuki są, jak mi się zdaje, natchnione sympatycznymi uczuciami, humanistyczne, jak to mawiają, obie są zręcznie napisane, Millera trochę zbyt retoryczna, Albee'ego zbyt przeciągnięta, ale zręcznie retoryczna, obie mogą interesować i obie też są nieznośnie pretensjonalne. Kiedy wreszcie kurtyna zapada po raz ostatni, podnosimy się z krzeseł z wrażeniem cichnącego szumu w głowie, jak po koncercie na cztery bębny bez dyrygenta.

Dlaczego?

* * *

Temat nie jest sam w sobie sprawą nadmiernie ważną. Ale przy danej problematyce dobór tematu staje się niezwykle ważki, decydujący. Pretensjonalność w sztuce jest zawsze sygnałem rozdźwięku pomiędzy tematem a problemem. Otóż problemem amerykańskich kontynuatorów naturalistycznego teatru — i Albee'ego i Millera można do nich zaliczyć — jest owo nieprzystosowanie. Jednostki do świata lub może lepiej z małych liter: inteligenta-humanisty do amerykańskiej współczesności. Czy historia nieudanego małżeństwa może być dla takiego problemu tematem odpowiednim?

Pytanie jest bardzo ogólne, zapewne zbyt ogólne w przypadku dużych liter — Jednostki i Świata. Jest jeszcze ciągle dość ogólne, gdy mowa o dzisiejszym amerykańskim inteligencie. Twierdzę jednak, że w tej wersji daje się już rozstrzygnąć. Negatywnie. Racje, choć pytanie dotyczy sztuki, dramatu, tkwią w rzeczywistości, nie w konstrukcji literackiej. Zorientujemy się w nich, jeśli tylko rozpatrzymy dokładniej, co to znaczy dobrać temat do problemu. Jeśli problemem jest nieprzystosowanie; od tematu żądać musimy, jako conditio sine qua non, by obejmował takie postacie i takie sytuacje, w których uwidoczniony zostanie mechanizm niezgody. O ile by np. nieprzystosowanie polegało na bólach głowy bohatera z powodu jazgotu samochodów, chcielibyśmy od autora, żeby nas przekonał, dlaczego zarówno jazgot jak i ból głowy są nieuniknione. Przykład wydaje się państwu zapewne zbyt prostacki, któż by pisał dramat o takiej sprawie: trzeba po prostu pracować na wsi. Istotnie, ale z dramatów, o których tu mowa, też niewiele więcej wynika, nie trzeba po prostu wchodzić w związki małżeńskie. Że prawie wszyscy w nie wchodzą? Ba, w Ameryce prawie wszyscy pracują w mieście...

To półżartem, ale przecież i półserio. Uwidocznienie mechanizmu niezgody — nieprzystosowania, wymaga wydobycia ważkich dla tego właśnie nieprzystosowania cech tak społeczeństwa jak i jednostki. Otóż do tego, by małżeństwo, komórka rodzinna, mogło tu pełnić rolę soczewki tematycznej, trzeba dość specjalnej struktury społecznej. To mogło „wyjść", i wychodziło (znakomicie!) u Czechowa czy Ibsena, ale to nie może „wyjść" Millerowi czy Albee'emu. Wbrew ewentualnym pozorom, wcale nie dlatego, że nie każdy weźmie po Bekwarku lutnię. Współczesna rodzina amerykańskiego intelektualisty, jako instytucja, jako sfera współżycia przynależy nieomal w całości do dziedziny tzw. czasu wolnego. Jest na tyle oderwana od zasadniczych dla kontaktów tego intelektualisty ze społeczeństwem dziedzin działalności i myśli, że jej obraz sceniczny nie może problematyki tych dziedzin nawet wydobyć. A dramaturgia to zajęcie subtelne: pakowanie problemów siłą w sceny do nich nie dopasowane daje wyniki żałosne. Tak żałośnie wygląda u Millera „wyjaśnienie" tragedii małżeńskiej: żonę, śpiewaczkę rozstroił nadmiar reklamy. Wybitny intelektualista ma nam, okazuje się, do powiedzenia tyle m. w., co „Express Wieczorny". Tak też żałośnie wygląda u Albee'ego „wyjaśnienie" małżeńskiego sadyzmu: mąż — ciapa, nie umie robić kariery, a w Ameryce żony żądają od mężów, żeby koniecznie robili karierę. I tyle. Co za okrutny kraj, co za okrutne żony...

Przepraszam, jest oczywiście jeszcze psychoanaliza i seksuologia, te, obok samochodów i gumy do żucia, podobno dwie pasje narodowe Ameryki. Nie chciałbym być brutalny, ale to naprawdę żenujące, kiedy dwa stare konie — mowa o autorach — ulegają bez oporu fałszywym fascynacjom intelektualnym obu tych dziedzin wiedzy. Istotna wartość XX-wiecznych odkryć naukowych w tym zakresie nie polega przecież na banalnej konstatacji, że dziecięce przeżycia odciśnięte na względnie jeszcze pustych, zatem plastycznych zwojach mózgowych „odzywają się" w dorosłości, ani też, że sekrecja gruczołów zabarwia nasze widzenie świata. Co w psychoanalizie i seksuologii współczesnej jest istotnie ciekawe i w literaturze twórczej, to próba stworzenia pomostów i powiązań pomiędzy intymnymi sferami historii indywidualnych, a tym olbrzymim biokiem wychowawczym, współdeterminującym każdego z nas, jakim jest spadek kulturowy społeczności. Że chłopczyk, który w wieku lat 2 miał wyszczerbiony nocniczek, okaże się w wieku lat 20 sadystą, jest ciekawostką niewiele mówiącą. Jaki jest natomiast związek takich konsekwencji wyszczerbionych dziecięcych nocniczków z demonologią średniowieczną i jej współczesnym potomstwem — to dopiero może być zabawne, i jak dowiedli np. Joyce, faktycznie bywa.

Innymi słowy — i formułując w dużym skrócie — współczesna wiedza psychologiczna w zastosowaniu do naturalistycznego obrazu drobnych, wycinkowych i nie reprezentatywnych komórek społeczno-obyczajowych jest dla literatury jałowa. Znów: temat i problem.

* * *

Zarówno Miller jak Albee próbują swoim historiom nadać wymiar tragiczny. Zarówno Miller jak Albee mają w swoim dorobku utwory, w których się im to udało, lub niemal udało. Ale na scenach teatru „Dramatycznego" i „Współczesnego" nie ma żadnej tragedii: jest szamotanina, wiele nieporozumień i pretensjonalna historia. Dobry pisarz, dobry teatr mogą nas zmusić do przeżywania tragedii nawet mrówki. Ale wówczas trzeba, by przekonali nas, że mamy z nią coś wspólnego. To, co pokazano na obu scenach, nie ma z nami nic wspólnego: są to małżeństwa dostatecznie amerykańskie na to, aby ich obyczajowo-socjalne uwarunkowania były nam obce — są to na tyle dokładnie, na tyle wyłącznie małżeńskie sprawy i sprawki, by znikła za nimi ta Ameryka i ci Amerykanie, którzy mogą liczyć na nasze ludzkie zrozumienie i współodczuwanie.

Zatem: każdy histeryzuje w samotności. A powodzenie kasowe? Mój Boże, można do teatru chodzić jak do kawiarni: na plotki.

Ifigenia aulidzka w Toruniu

JANINA PLISZCZYŃSKA

W dniu 16 czerwca br. przedstawił Bałtycki Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego Koszalin — Słupsk, na festiwalu teatralnym Polski Północnej w Toruniu piękny spektakl, wystawiając tragedię Eurypidesa Ifigenię w Aulidzie, w reżyserii swego dyrektora Lecha Komarnickiego.

Przede wszystkim należy wyrazić najwyższe uznanie dla koncepcji generalnej reżyserskiej. Dzisiejsze, dość liczne, wystawiania sztuk antycznych, że przypomnę już tylko ostatni Dejmka spektakl: Agamemnon Ajschylosa, Elektra Sofoklesa i Żaby Arystofanesa, cierpią na brak właśnie tej koncepcji generalnej. Jak wystawiać dzisiaj dramat antyczny, mający wszakże inne zupełnie konwencje teatralne? I czy go w ogóle wystawiać? Co do drugiego pytania, to odpowiedź nasuwa się spontaniczna: trzeba, za wszelką cenę, trzeba. Dramat antyczny prezentuje nie tylko korzenie współczesnej sztuki dramatycznej, ale jej, powiedzmy szczerze, najwyższe osiągnięcia. Wysoka, a nawet wzniosła postawa moralna, celność problematyki ogólnoludzkiej wiecznie aktualnej: miłości i nienawiści, zemsty i przebaczenia, pokory i pychy, poświęcenia i egoizmu, czysta i przejrzysta budowa postaci scenicznych, prezentujących zarówno indywidualny ethos jak ogólne idee, w rodzaju słów Antygony: „współkochać przyszłam, nie współnienawidzieć", czynią z antycznej tragedii stale bijące źródło ożywczego napoju dla współczesnego teatru. Nieobojętne są również dla współczesnej techniki dramaturgicznej dwie generalne zasady budowania akcji scenicznej, stosowane w teatrze antycznym: perypetia i anagnorismós. Pierwsza polega na falowaniu akcji: z nieszczęścia w szczęście, lub (częściej) ze szczęścia w nieszczęście. Druga, to tzw. rozpoznanie, polegające na tym, że w ciągu akcji okazuje się ktoś lub coś, kim lub czym innym niż był lub było pozornie. Anagnorismós tj. rozpoznanie, jest osią akcji np. Króla Edypa, który ukazując się widzowi na początku sztuki jako wspaniały, szlachetny, uwielbiany przez ludność król tebański, staje się w miarę rozwoju akcji i odsłaniania się tajemnicy jego pochodzenia coraz bardziej godnym pożałowania człowiekiem, a wreszcie — w epilogu sztuki wobec przerażonych oczu widza ukazuje się jako oślepiony przez samego siebie nędzarz, łachman ludzki, budzący litość, grozę i wstręt organiczny, jako zmazany, choć bez swej winy, hańbą straszliwego związku seksualnego z rodzoną matką oraz ojcobójstwa.

Ifigenia aulidzka przedstawia problem potrójny: wodza (Agamemnona) składającego ofiarę ze swej córki na rzecz powodzenie wyprawy wojennej swego ludu, na żądanie bóstwa, co stanowi wątek fabularny zbliżony do ofiary Izaaka przez Abrahama; matki (Klytajmestry) broniącej drapieżnie swego dziecka przed śmiercią; dziewczęcia — królewny (Ifigenii), która z buntu przeciw śmierci przechodzi zwolna do dobrowolnej i świadomej postawy ofiary na rzecz dobra swego ludu. Te trzy problemy etyczne zostały wygrane przez trzech aktorów: Wojciecha Standeltę, znakomitego w kreacji słabego, wahającego się Agamemnona, Kazimiery Stazyckiej-Kubalskiej, patetycznej w roli drapieżnej matki, tj. Klytajmestry, oraz Marii Chróścielówny lirycznej w kreacji Ifigenii, pełnej dziewczęcego uroku a zarazem stopniowo dojrzewającej do samouświadomienia swej roli ofiary dobrowolnej na rzecz powodzenia wyprawy Achajów pod Troję. Należy podkreślić wysoką precyzję reżysera, dyrektora Lecha Komarnickiego, w ustawieniu tych postaci scenicznych, aby fungowały zgodnie z ideami przez siebie prezentowanymi, nie tracąc jednocześnie żywego ciała indywidualności ludzkich.

Problemem scenicznym, szczególnie trudnym dla współczesnego teatru, jest ustawienie roli chóru w stosunku do całego widowiska i do postaci scenicznych. Chór antyczny jest wszak postacią sztuki. Jeśli sobie współczesny reżyser tego nie uświadomi, doprowadzi do tego, że poszczególni przedstawiciele chóru będą się plątali po scenie, jak to było w wypadku wystawienia przed kilkoma laty w Warszawie Króla Edypa. I tu znowu należy zaaprobować postawę reżyserską dyr. Lecha Komarnickiego. Chór działał jako organiczna całość i miał określone cele: wyrażał nastrój grozy, litości, niepokoju, wypowiadał się za lub przeciw temu, co się odbywało na scenie, wygłaszał myśli ogólne ilustrujące tok akcji scenicznej. Słowem okazał się niezbędny dla widowiska.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje koncepcja choreograficzna zespołu chórowego. Układy taneczne były różne, bynajmniej nie schematyczne, a zawsze piękne. W dwu partiach chórowych: pieśni do Parysa i w hymnie do Artemidy dopuścił też reżyser do głosu rytmy oryginału w mowie helleńskiej, co nadało widowisku znamię autentyczne i klimat misterium, właściwy greckiej tragedii przez cały czas jej rozwoju. Należy wyrazić też słowa uznania dla koryfejki chóru, Weli Łam, w partiach jej solowych oraz w utrzymywaniu harmonii we wszystkich wypowiedziach i gestach chóru, co nie było rzeczą łatwą, z uwagi na recytację długich partii bez żadnego akompaniamentu. Na szczególną uwagę zasługuje recytacja w pięknym układzie choreograficznym hymnu do Artemidy, gdzie na tle recytacji chóru (w rytmach oryginału, po grecku) wykonywa koryfejka swą partię solową z recytacją po polsku. Jest to oryginalny pomysł reżyserski ze strony dyr. Lecha Komarnickiego uzyskania jednoczesności recytacji dwujęzycznej.

Należy kilka słów poświęcić muzyce Augustyna Blocha, stanowiącej trafną sygnalizację dla wystąpień chóru oraz dla ważniejszych momentów akcji, muzyki umownej, ostro i śmiało wkraczającej w akcję, ameledycznej. Widowisko antyczne nie jest sensu stricto operą, ale miało silne akcenty muzyczne i tak zostało tu zinterpretowane.

Przekład bardzo swobodny (może nieco za swobodny) Wacławy Komarnickiej ma charakter użytkowy, teatralny i dobrze brzmi na scenie. Jego zaletą jest brak archaizmów i operowanie tylko współczesną, poprawną polszczyzną.

W całości ujrzeliśmy piękny spektakl, przemyślany reżysersko, trafnie ustawiony, o wysokim dramatycznym napięciu.

Z melancholijnym wszelako uśmiechem brałam udział jako odbiorca w tym pięknym widowisku, mając przed „oczyma duszy" te masy młodzieży, które już w najbliższym czasie nie będą w stanie zrozumieć nic ze świata antycznego wskutek obcięcia łaciny do przedmiotu tylko nadobowiązkowego i to przy pewnym quantum młodzieży. Zawsze były to pewne, choć nie najszersze (brak greki), wrota do poznania świata antycznego, podstawy europejskiej kultury.

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

niech inni

dzwony dzwony jak dużo dzwonów —
trwogi trwogi jak dużo trwóg —
towarzyszu
idę z tobą
poczekaj
poczekaj
dokąd ja z tobą pójdę
tam szkarłaty kwitną a mnie
oczy bolą
tam dzwony biją a mnie
uszy bolą
tu zostanę mego grodu grodziszcza gródka
nie znajdą

hej człowieku
niesiesz wiązkę chrustu
rozpalimy ogień pogadamy
o czym to pogadamy
a no o piwie
okocimskim żywieckim dojlidzkim
nie lubisz piwa
ale ono na cały świat
ja też nie lubię słynne słynne piwo
to może o gwiazdach już noc widzisz jak szybko
podobno cztery księżyce
na jednym twardowski
na drugim ty
na trzecim ja
czwarty czarną chmurą przesłoni świat

idziesz
za nim idziesz
to może i ja
poczekaj pójdziemy inną drogą
ciekawszą
przez wrzosowiska pachnące.
płaski gorące
nagrzane słońcem
albo idź sam
ja na ciebie poczekam
przygotuję chrustu na ognisko
pogadamy jak wrócisz

możesz nie wrócić
napiszę o tobie wiersz
pokoleniom przekażę do naśladowania

Białystok

ANDRZEJ LUBICZ

młody poeta

młody poeta jest w istocie także człowiekiem
któremu jednak
przydałoby się ostrzyc włosy

młody poeta wita się ze znajomymi
czyta sartre'a chodzi od szkoły
i oburza swoją postawą poczciwych nauczycieli

— wracaj do domu już późno —
często mówi dziewczyna młodemu poecie
jeżeli zbyt długo stoi pod oknem wybranej

młody poeta płaci podatek życiu
siedząc sześć godzin w szkole
i ma złudzenie że nigdy nie minie 18 lat
i nigdy nie przestanie być młodym poetą

Kielce

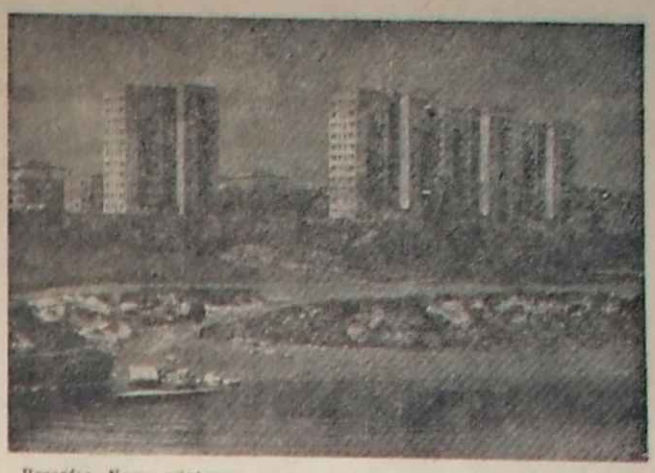

Rzeszów. Nowe wieżowce — *Fot. Z. Postępski*

WOJCIECH KAMIŃSKI

Ziemia Rzeszowska

Jestem tutaj. Na wzgórzu
Pośród dzikich jeszcze owoców.
Otacza mnie zewsząd ziemia
Zryta pociskami. Poplamiona rdzą.
Pełna ludzkiej nadziei.

Lasy wychodzą mi naprzeciw
I dymy z miast i wsi
Piszą nowe zdarzenia.
Dźwięczą strumienie i rzeki.
Srebrne jeziora
Łagodzą zmęczenie.
Tak blisko jestem i tak daleko.

Imiona zabitych żyją tutaj
W zapachu potu i ognia
W kurzu zieleni.
Oczy wyszukują wspomnień
Pierwszej młodości.
Ziemia zrzuca z siebie skórę
Zmienia się gęstnieje
Choć pozostaje ziemią.

Człowiek idzie dalej
W zimę i w niepogodę
W zmierzch i w zapach słońca.

Jestem tutaj. Od jak dawna żyję
W kraju tym. W krainie. W domu.
Gdzie stara gorycz. Ojcowizna. Chleb...
Ziemia Rzeszowska. Krajobraz
Wyniesiony
Z jałowych ciemności na prosty brzeg.

Dębica

DANUTA KONARZEWSKA

Niedosyt

Uchylona firanka i okno
— słyszę: w ciemności,
trawa i dachy moknąą.
chmury rosną.
Błyskawicy ostry reflektor
ciszę wymiata
i kontrastową kredką
szkicuje
burzy plakat.
Mocny zapach.
— caprifolium?
— róże?
— jaśminy?
Dar upalnego lata
na imieniny.
Gdyby jeszcze paproć
kwitnącą
znaleźć
w lesie życiowych
dylematów...
Są tylko dzikiej róży pnącza.
(korale na jesień) —
co do krwi drapią.

Lublin

Bohdan Królikowski

DZIEDZICTWO PANA HIERONIMA

(Dokończenie ze str. 8)

zbiory po Łopacińskim za zebraną drogą składek sumę 5 000 rubli. Od tego roku rozpoczyna się 68-letnia historia Biblioteki im. H. Łopacińskiego, czyli „wzbogaconego dziedzictwa pana Hieronima".

W okresie pierwszego dziesięciolecia zbiory podwoiły się osiągając z 14 tys. w r. 1907 — 32 tys. w r. 1917. W dwudziestoleciu międzywojennym doszły w r. 1939 do prawie 60 tys. tomów. Okres okupacji wstrzymał rozwój Biblioteki pozostawiając w spadku niezbyt wielkie, na szczęście, straty, ale za to wielki nieporządek w całym gmachu.

Ostatnie dwudziestolecie doprowadziło do ogromnego spadku... stosunku procentowego między księgozbiorem nabytym od Łopacińskiego a później nabytymi książkami. W roku 1917 książki po H. Łopacińskim stanowiły ok. 50 proc. zbiorów Biblioteki, w r. 1939 już tylko ok. 20 proc. Obecnie stanowią zaledwie... 5 proc. księgozbioru Biblioteki jego imienia. Według oficjalnych danych zasoby Biblioteki na dzień 31 XII 1964 wynoszą 286 000 tomów książek, 14 000 starodruków i 1990 jednostek rękopiśmiennych. W ostatnim dwudziestoleciu wzrost zbiorów był zatem pięciokrotny!

Wzrastanie liczby książek, oczywiście, wymaga stałego zwiększania przeznaczonej dla nich przestrzeni. Obecna, piękna zresztą, siedziba Biblioteki jest jej siedliskiem dopiero od roku 1939.

Najbardziej dobitnie widać rozwój Biblioteki od strony liczby ludzi w niej pracujących i z niej korzystających. W roku 1908 zatrudniono w nowo powstałej Bibliotece jedną bibliotekarkę, w r. 1939 pracowały w Bibliotece 4 osoby, obecnie liczba pracowników (wraz z zatrudnionymi w filiach) wynosi 104 osoby.

Jeżeli chodzi o liczbę czytelników, wzrosła ona z 548 osób w roku 1908 do 27 229 w roku 1964. W tymże roku udostępniono w czytelniach Biblioteki 62 tysiące tomów, a pożyczono do domu 450 tysięcy tomów.

Przytoczone dane wskazują wyraźnie, że Bibliotece jest za ciasno. Aczkolwiek Muzeum przeniosło się na Zamek, to nadal użytkownikiem gmachu jest — jako współlokator — Biuro Wystaw Artystycznych oraz — jako sublokator — Biblioteka Uniwersytecka UMCS. Biblioteka Uniwersytecka zamierza przenieść się na nowe mieszkanie w roku 1966, ale jest to jak na razie — optymistyczne przewidywanie. Jednakże nawet po opróżnieniu części gmachu zajmowanej przez UMCS, Bibliotece będzie o wiele za ciasno. Dlatego też planuje się jej rozbudowę. Biblioteka przejęła obecnie sąsiedni plac, na którym w roku 1966 rozpocznie się budowę pięciopiętrowego przedłużenia obecnego gmachu. Jest więc nadzieja, że bolączki lokalowe za kilka lat znikną.

Biblioteka im. Łopacińskiego, którą kieruje obecnie Tadeusz Jeziorski, działa przy pomocy gęstej sieci placówek pomocniczych — wypożyczalni rozsianych w liczbie 21 po całym mieście. Jako Biblioteka Wojewódzka pełni też szereg funkcji organizacyjnych i szkoleniowych w stosunku do bibliotek całego województwa. Na Narutowicza 4 mieści się też ośrodek wydawniczy. Przy Bibliotece Łopacińskiego wydawany jest kwartalnik pt. „Bibliotekarz Lubelski", oraz kwartalny biuletyn pt. „Biblioteczna Służba Informacyjna Województwa Lubelskiego". Ponadto wydaje się materiały szkoleniowe i pomocnicze dla propagandy książki i czytelnictwa. Ambitnym zamierzeniem Biblioteki jest planowane wydanie w roku przyszłym bibliografii Lubelszczyzny za ostatnie dwudziestolecie, złożonej już do recenzji w Bibliotece Narodowej. Ponadto wydano trzeci już tom „Katalogu Rękopisów Biblioteki".

Warto jeszcze podkreślić różnorodność metod działania. Biblioteka ma oprócz filii dla dorosłych cztery filie dziecięce i jedną młodzieżową (na Zamku) a także jedną szpitalną (w Klinice nr 4). Propagując książkę, Biblioteka stosuje metodę odczytów, wystaw, konkursów itp. Tu trzeba dodać, że w ogólnopolskim konkursie pn. „Bliżej Literatury Współczesnej" w roku bieżącym uzyskała Biblioteka im. H. Łopacińskiego pierwsze miejsce.

Piotr Szczepanik

„Gdy rano wstaję, słyszę Twój głos"...

ZNAJOMI Piotra, którzy mieli okazję oglądać go w kołysce, twierdzą, że śpiewał od urodzenia. Tylko wtedy nie wszyscy wiedzieli, że jest to śpiew i niewielkie było grono entuzjastów głosu Piotrusia. Być może jest w tym nieco złośliwej przesady, ale jest też faktem stwierdzonym, że radio nie umilało programu jego piosenkami, a wytwórnia płyt gramofonowych „Odeon" nie ubiegała się o jego nagrania.

Lata późniejsze były bardziej łaskawe, chociaż i tutaj zdarzały się przykre niespodzianki. Produkcje w dziecięcym teatrzyku szkolnym przyniosły Piotrusiowi pochwały nauczycieli, no i rozgłos na całą dzielnicę. Za to w „ogólniaku", przy ulicy Buczka, woźny złożył skargę do dyrektora szkoły że uczeń Piotr Szczepanik wystukuje na żeberkach szkolnych kaloryferów — dziwne rytmy, nucąc przy tym coś niezrozumiałego...

Wyższa Szkoła Teatralna w Warszawie miała być następnym szczeblem kariery. Niestety, egzaminatorzy nie dopatrzyli się talentów u młodego lublinianina, tym samym zmuszając go do podjęcia pracy zarobkowej w... magazynie jednej z lubelskich instytucji.

Serio zaczął śpiewać Szczepanik dopiero w nowo powstałym lubelskim klubie Zamek, który wyławiał ciekawie zapowiadające się talenty. Był już wtedy studentem, zaczął uczęszczać na historię sztuki.

Osobny i bardzo czasochłonny rozdział w karierze Piotra Szczepanika — to kabaret „Czart", którego stał się wkrótce głównym filarem, występując w 14 kolejnych programach.

Kraków przyniósł mu już rozgłos ogólnopolski. W roku 1963 zajmuje tu szóste, a w rok później czwarte miejsce w finale Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Studenckiej. Pierwsze tranzmisje w TV i radio, pierwsze nagrody, dużo kwiatów.

Korzyńskiego i jego spółkę poznał w Zagrzebiu na Festiwalu Teatrów Studenckich. Korzyński stwierdził, że głos Szczepanika jest jakby stworzony do jego piosenek. Ze swej strony Szczepanik nie krył, że repertuar proponowany przez Korzyńskiego bardzo mu odpowiada. Ta współpraca, o obopólnych korzyściach ugruntowała pozycję 23-letniego lublinianina. Głos Szczepanika słyszy się dziś na falach radiowych częściej niż któregokolwiek ze znanych polskich piosenkarzy. „Żółte kalendarze", „Odlot kormoranów", „Lepiej nie pytaj", „Nie jestem sobą", „Niedomówienia"" i kilka innych piosenek nagrał już na czterech płytach „Veritonu" i „Polskich Nagrań". W październiku wejdzie na rynek nowa, rewelacyjnie podobno zapowiadająca się płyta z piosenkami w wykonaniu Szczepanika („Nigdy więcej", „Dzień nie podobny do dnia", „Nie jestem sobą").

O nagrodzie publiczności, jaką uzyskał na tegorocznym Festiwalu w Opolu i o sukcesach w Rostocku, nie piszę — znamy to z prasy, radia i telewizji.

W mieszkaniu Piotrusia Szczepanika leżą setki listów od wielbicielek, nastolatek z całego kraju. Biorę do ręki jeden z listów: „Gdy rano wstaję, słyszę Twój głos..." — czytam pierwsze słowa...

Tekst i zdjęcie:
Andrzej Polakowski

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ W obradach Powiatowego Zjazdu ZSL w Suwałkach uczestniczył prezes NK ZSL, Marszałek Sejmu Czesław Wycech, oraz przedstawiciele białostockich władz wojewódzkich.

◆ Teatr im. Al. Węgierki wystąpił z premierą komedii Goldoniego „Zabawne zdarzenie". Warto zauważyć, że była to już 50 kolejna premiera przygotowana w czasie dyrekcji Jerzego Zegalskiego.

KIELCE

◆ W pierwszych dniach lipca obradował w Kielcach IV Statutowy Zjazd Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych. Uczestniczyli w nim przedstawiciele władz centralnych i wojewódzkich, m. in.: Stefan Godoński — sekretarz generalny CZKR, Kazimierz Barcikowski — przewodniczący ZG ZMW, Henryk Skrobisz — kierownik Wydziału Rolnego NK ZSL, Franciszek Wachowiak — I sekretarz KW PZPR, Antoni Mierzwiński — przewodniczący Prez. WRN.

◆ Pod koniec czerwca, w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Kielcach otwarto drugą część wystawy „20 lat PRL w twórczości plastycznej". Ekspozycja obejmuje prace malarskie i rzeźbiarskie plastyków okręgu kieleckiego. Malarstwo reprezentują: Kurpiel, Kurkowski, Rzuczkowska, Krysińska, Likowski; rzeźbę — Maj, Duiny, Michałowska.

◆ Aktorzy i inni pracownicy Teatru im. Żeromskiego wyjechali na wakacje. Tymczasem kierownictwo teatru przygotowuje się już do następnego sezonu teatralnego. Projekt planu repertuarowego przewiduje 14 premier. M. in. „Dramatu akt pierwszy" Żeromskiego, „Więźniów z Altony" Sartre'a, „Romea i Julii" Szekspira, „Pigmaliona" Shawa, „Wesela" Wyspiańskiego, „Tanga" Mrożka.

LUBLIN

◆ 11 lipca odbyła się w Puławach uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pod drugą fabrykę związków azotowych, tzw. „Puławy II". W uroczystości uczestniczył członek Biura Politycznego, przewodniczący Komisji Planowania, dr Stefan Jędrychowski.

◆ Na zaproszenie przewodniczącego Prezydium MRN w Debreczynie, dr Szilagi Bagora, udaje się na Węgry 3-osobowa delegacja lubelskich władz miejskich. Celem pobytu będzie ułożenie długofalowego planu współpracy miast.

◆ Pod koniec lipca, na pokładzie jachtu „Śmiały", wyrusza do Ameryki Południowej polska wyprawa naukowa, zorganizowana przez Polskie Towarzystwo Geograficzne i Polski Związek Żeglarski. Wyprawa jest w pewnym sensie „lubelska". Kierownikiem jej jest doc. dr Tadeusz Wilgat z UMCS, a kapitanem lublinianin, mgr Bolesław K. Kowalski. Mieszkańcem Lublina jest pracownik katedry hydrografii UMCS, dr Krzysztof Wojciechowski.

RZESZÓW

◆ Zadania na rok kulturalno-oświatowy 1965—66 były tematem narady kierowników wydziałów kultury PRN i organizacji współpracujących w działalności kulturalno-oświatowej. Narada została zwołana przez Wydział Kultury Prezydium WRN.

◆ „Gdzie półprodukty, wątróbki, rolady, pierożki z mięsem, kapustą czy grzybkami... Gdzie? W Lublinie!... „Ukwieconym ulicom przychodzą w sukurs jeszcze kwiaciarki", ...(Pieczywa)" gatunków kilkanaście... w Lublinie nawet chleb na miodzie przekroją na czworo, choć jest w celofanie" — zachwyca się E. Ciastoniowa w artykule: „Z Lublina na rzeszowską nutę". („Nowiny Rzeszowskie"). Jednak przyjemnie poczytać sobie przynajmniej od czasu do czasu w gazecie z „zaprzyjaźnionego" województwa, że w Lublinie zaopatrzenie na piątkę!

Skoro zabrakło widowni...

(Dokończenie ze str. 3)

ską mową w przedstawieniu „Nasze strone" snuł pieśń o miłości rodzinnej ziemi. Od z górą dwudziestu lat Kaszubka-nauczycielka Anna Gawronowa szczepi tam miłość do Polski i kaszubskiej strony, do sztuki, do poezji.

I bardzo państwa przepraszam, na tym koniec. Tak, kropka. Bo jednocześnie festiwal był pokazem złego smaku i najwulgarniejszego snobizmu, bezmyślności, aż do niezrozumiałego bełkotu. Bo w tym samym dniu, gdy tak wszystkich zachwycił teatr z Lublina, administratorzy kultury z Katowic mieli „odwagę" zaprezentować zespół Domu Kultury Kopalni „Knurów", który znęcał się nad słowem Gustawa Morcinka. A może nawet nie ten zespół był najgorszy. Chyba jeszcze surowiej ocenić wypada zespoły, które, dogadzając snobizmowi samozwańczych „reżyserów", wyprawiały niezrozumiałe dla nikogo, łącznie z twórcami spektaklu, łamańce i wygłaszały teksty, których ani w ząb nie rozumiały. Na takich to „występkach" przeciw poezji upłynęły pierwsze dwa dni szumnie zapowiadanego festiwalu. Dlaczego tak się stało?

Otóż ktoś gdzieś wpadł na iście „genialny" pomysł. Wiadomo, że mamy uznane, twórcze zespoły, takie jak choćby „Dialog" z Koszalina, czy „Kalambur" z Wrocławia, mamy świetny zespół w maleńkiej Słupcy i „Akapit" w nowym Sączu; jest „Metafora" w Łodzi i są medycy w Gdańsku. Nie dopuścić ich. Dosyć się nawysiepowali. Były eliminacje wojewódzkie? Wybrali najlepsze zespoły? Otóż ich nie dopuścimy. Wybierzemy sobie sami z wykazu. I wybrali... Ślepy traf zrządził, że przecież dotarło do Koszalina kilka dobrych teatrów. Ale znacznie, znacznie więcej bardzo złych. Takich, których w ogóle teatrami poezji nazwać nie można. Ktoś zirytowany powiedział, że było to tak, jakby zorganizować wielkie, ogólnokrajowe mistrzostwa sportowe, wykluczając mistrzów, by dać szansę... patałachom. Otóż ojcowie chybionego tegorocznego festiwalu tkim właśnie argumentem szafowali w swojej obronie, kiedy ich atakowano za absencję najlepszych. Trzeba dać szansę zespołom słabszym, pokazać na festiwalu przekrój środowiskowy — oto jak tłumaczono fakt powołania do Koszalina zespołów według zasady widzimisię.

Nie jestem entuzjastą konkursów w sztuce. Nie ma takiej idealnej miarki, czy przyrządu, za pomocą którego można by bezwzględnie określić co lepsze, co gorsze, a gusty są zawodne i podlegają wielu czynnikom, wśród których i moda niepoślednią gra rolę. Na konkursach teatralnych szczególnie razi mnie zasłany z reguły zielonym suknem stół obstawiony butelkami z wodą sodową, spoza których wyzierają bynajmniej nie rozbawione oblicza członków jury. Widać, że podobnych uczuć doświadczyli i organizatorzy imprezy w Koszalinie, bo postanowili, że nie będzie się tym razem przyznawało miejsc. Ale sąd konkursowy powołali. Po co? A no miały być przyznane nagrody za różne okazje. Grę, inscenizację, scenografię. Nie kijem go...

Już podczas tegorocznego konkursu recytatorskiego w Szczecinie dręczyło mnie uparcie pytanie: dla kogo właściwie robi się te festiwale i turnieje? Na salach, gdzie odbywały się przesłuchania nie było właściwie publiczności poza działaczami amatorskiego ruchu artystycznego, członkami konkurencyjnych zespołów, prasą i organizatorami. Od czasu do czasu parami wprowadzano uczniów jakiejś szkoły. W Koszalinie i tego nie było. Niby miasto było udekorowane transparentami i barwnymi plakatami, ale na sali Teatru Bałtyckiego poza ludźmi, którzy tam być musieli, nie uświadczyłeś widza. Byli tak zwani w języku teatralnym „szakale", publiczka nastawiona na wyłapywanie błędów i potknięć, węsząca i plotkująca, oraz wspomniane jury. Zapytałem w kasie (była takowa), czy choćby jeden człowiek poprosił o bilet. Okazało się, że nie było takiego sprawiedliwego nawet na darmowe miejsca. Teatr składa się ze sceny i widowni. Skoro zabrakło widowni...

Impreza w Koszalinie kosztowała sporo, znacznie ponad pół miliona, przyjechała masa bardzo złych zespołów, przybyło kilka dobrych, ale po co i dla kogo? By się poznać nawzajem? Też chybiony pomysł, bo ci słabi tak są niedoskonali, że się od tych lepszych chyba nie nauczą.

Gigantomania, hurraakcyjność, imprezowe fasady — niepokojące te objawy powracają ostatnio raz po raz w naszym życiu kulturalnym. Stworzyli ludzie wielkiego talentu teatry poezji — a no pokazać, że to ruch masowy. A ten właśnie ruch nie może być i nigdy nie będzie zjawiskiem masowym. Z samej swej natury musi to być ruch elitarny. Powstaną bowiem teatry poezji tylko tam, gdzie istnieje odpowiednie środowisko, gdzie zbierze się krąg ludzi poezją żywo zainteresowanych, gdzie się poezję czyta, dyskutuje, gdzie spotyka się z poetami, gdzie śledzi się życie teatralne, omawia nowe teatralne formy — słowem tam, gdzie panuje wysoka temperatura aktywności kulturalnej. Trzeba tę atmosferę wpierw stworzyć w możliwie najszerszym zakresie, budować ją mozolnie, lecz nie mydlić oczy cyframi zespołów. Słabym zespołom wyrządzono krzywdę. Mimowoli uświadomiono im ich ubóstwo. To zraża. Teatry poezji będą się rozwijały, ale niechaj występują przed prawdziwą publicznością, a jeśli już przeglądy, to chyba tylko z jakiejś poetyckiej okazji, bez zielonych stołów jury, ale z prawdziwą widownią. Nie pouczenia instruktorów centralnych potadni, lecz twórcze dyskusje.

Impreza w Koszalinie była przykładem bardzo złej roboty w dziedzinie polityki kulturalnej. Trzeba wyrobić w sobie zdrową nieufność wobec wszelkich podobnych „wielkich akcji" i w imię dobrej roboty przeciwdziałać wszędzie tam, gdzie robi się tylko po to, by pokazać samym sobie, że coś się dzieje.

Stefan Atlas

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

Biały liść

W lęku, co przeszedł sam siebie
— królestwo liścia.
Drżę, kiedy opieciony niewiarą
staje się biały,
aby być prawdziwym.
Jest wtedy między nami
głód i grzech przenikań,
a otwiera się czas
bez podziału na dnie,
bez podziału na noce.

Białystok

KSIĄŻKI NADESŁANE

„PIW"

Konstanty Worobiow — Cena radości, Polegli pod Moskwą, przełożył Jerzy Brzęczkowski, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Pieśń o Rolandzie, wstęp napisała Krystyna Kasprzyk, przypisy opracowała Jadwiga Gałuszka — książka zatwierdzona do bibliotek szkolnych pismem Min. Oświaty z czerwca 1959 r.

Józef Ratajczak — W środku gwaru, poezje, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Michał Rusinek — Wiosna admirała, powieść historyczna (z trylogii historycznej o Krzysztofie Arciszewskim), Warszawa 1965 r., wydanie szóste.

Michał Rusinek — Muszkieter z Itamariki, powieść historyczna (z trylogii o Krzysztofie Arciszewskim) Warszawa 1965 r., wydanie czwarte.

Michał Rusinek — Królestwo Pychy, powieść historyczna (z trylogii historycznej o Krzysztofie Arciszewskim) Warszawa 1965 r., wydanie trzecie.

Jurij Pilar — Człowiek pozostaje człowiekiem, przełożyła Zofia Korczak-Zawadzka, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Maria Kurecka — Jan Christian Andersen, biografia, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Margarette Neumann — Grabarz, przełożyła Maria Kłos-Gwizdalska, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Sara Lidman — Bagienne maliny, przełożyła Maria Olszańska, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Kazimierz Morawski — Czasy Zygmuntowskie na tle prądów Odrodzenia, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Gawriił Trojepolski — W szuwarach (z notatnika myśliwego), przełożył Jerzy Brzęczkowski, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Korespondencja Erazma z Rotterdamu z Polakami, przełożyła i opracowała Maria Cytowska, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Stefan Andres — Przebierańcy i inne opowiadania, przełożyła Edyta Sicińska, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Laszlo Nemeth — Odraza, przekład i posłowie Camilli Mondral, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Jerzy Sito — Christophera Marlowe'a Edward II, Burzliwe panowanie i żałosna śmierć Króla Anglii z tragicznym upadkiem dumnego mortimera, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze.

Jan Wiktor — Papież i buntownik, Warszawa 1965 r., wydanie czwarte.

Hemingway — Stary człowiek i morze, przełożył Bronisław Zieliński, Warszawa 1965 r., wydanie czwarte.

Tadeusz Różewicz — Przerwany egzamin, Warszawa 1965 r., wydanie drugie rozszerzone.

TADEUSZ KŁAK

Poetyka kształtu

OD WYDANIA „Wierności cieni" — wspólnego zbioru wierszy Józefa W. Zięby i Stanisława Weremczuka dzieli „Zasiew soczysty" *) spory kawał czasu. Porównywanie obu zbiorków jest niecelowe o tyle, że „Zasiew soczysty" stanowi bardzo szczupły wybór z tego, co Zięba napisał, do tego ukazuje tylko jeden nurt, jedną odmianę wierszy, a to nie tylko utrudnia zadanie krytyka, który w tej sytuacji stronić powinien od uogólnień, ale uniemożliwia poecie przedstawienie swoich możliwości.

Wiersze z „Zasiewu soczystego" najbliższe są temu nurtowi nowej poezji polskiej, którą nazwano poezją lingwistyczną (m. in. Białoszewski, Karpowicz). Dla tego nurtu głównym źródłem wzruszenia lirycznego są rozmaite zabiegi dokonywane w obrębie języka. Mówię o zbliżeniu, a nie o zależności. Chodzi Zięble o dokonywanie doświadczeń ze słowem, składnią, zdaniem, z całym materiałem językowym. Ale sam fakt prowadzenia doświadczeń o niczym jeszcze nie mówi. Ważne jest, jakiej one są natury, dokąd prowadzą, jakie dają wyniki. Jedną z dróg poszukiwania nowego języka jest przekształcanie składni i stosowanie elipsy. Przykładem może być początek „Wielości rzeczy":

Oto obwis czerwonej kropli
poziomki nad brązowych liści

czy ostatnia strofa tego wiersza. Elipsa polega tu na rozbiciu metafory, na usunięciu składnika obrazowego, lub wiązań porównania. W praktyce awangardy elipsa polegała na opuszczeniu słów mało znaczących, mało nośnych poetycko, przekształcała tradycyjne porównanie w odkrywczą metaforę. U Zięby elipsa do takiego wyniku nie prowadzi, dotyczy zbyt istotnych członów obrazowych. Wydaje się, jakby Zięba budował wiersze-schematy, których wypełnienie pozostawia czytelnikowi. Taka proporcja współpracy z poetą sprawia jednak czytelnikowi kłopot, nie jest do niej w jednakowym stopniu obowiązany. W „Zasiewie soczystym" elipsa powstaje przez mechaniczne usuwanie części zdania, nie jest więc wynikiem konieczności artystycznej, ale zabiegiem raczej mechanicznym.

Można jednak podjąć próbę obrony tych wierszy mówiąc, że ta eliptyczność prowadzi ku nowej składni. Poezja współczesna w swej części nowatorskiej próbowała wyjść poza słowo i zdanie, rozbić je, uwolnić się od nich. Ale to praca daremna. Bo tą, czy inną drogą trzeba do zdania i znaczenia powrócić. Oczywiście, będzie to zdanie i słowo nowe, odmienione. Wiersze Zięby nie sięgają hermetyzmu ostatnich wierszy Karpowicza, ale wydaje się, że często będą rozmijać się z odbiorcą. Zamącenie składni, jakiego dokonuje Zięba, nie zapowiada sukcesów, grozi raczej manierą.

A przecież w „Zasiewie soczystym" zawiera się coś, co zwraca uwagę, zniewala i budzi nadzieję. Nie są to zawsze rzeczy uchwytne, łatwe do nazwania. Najbardziej oczywista jest świadomość kształtu, bryły, przestrzeni. Wyobraźnia Zięby ciąży ku kształtowi kuli — bryła, kamień, kropla, to częste motywy „Zasiewu soczystego". Rzeczy widziane zbliżają się ku ich konturom. Kamień ma stare filiacje filozoficzne, symbolizuje maksymalne skupienie materii i zagadkowość bytu. Kuliste widzenie rzeczy powoduje powrót do najbardziej elementarnych i pierwotnych form. Na tej drodze Zięba w swoich wierszach upraszcza świat. Ale i bardzo komplikuje. Takie widzenie świata prowadzi więc tu do refleksji filozoficznych, a nie do konstrukcyj architektonicznych.

Ten sam wniosek wynika z obserwacji drugiego istotnego składnika wiersza Zięby — przestrzeni, ściśle zresztą z kształtem zespolonej, jak choćby w ciekawym i ambitnym „Poemacie o podaniu ręki". W szczupłym zbiorku Zięby niemal wszystkie wiersze oparte są na konstrukcji intelektualnej, to wiersze-rozmyślania, wiersze-dedukcje, wiersze-traktaty. Tu zawiera się uzasadnienie, dlaczego wrażliwość na kształt nie prowadzi ku rzeźbiarskiemu widzeniu, ale ku filozoficznej definicji. Dlatego są niekiedy zbyt mało uchwytne, nie poruszają wrażliwości czytelnika. To stwierdzenie, nie zarzut. Zarzut natomiast jest ten, że konstrukcje te są mało klarowne i sprecyzowane, wiersz rozbija się na elementy, a problematyka niektórych wierszy jest pozorna.

Postawmy jednak na nadzieję. Dajmy jeszcze poecie kredyt zaufania, jego rzeczą jest jak najlepiej z tego kredytu skorzystać. „Zasiew soczysty" otwarł nowy typ publikacji — równorzędnej prezentacji poety i plastyka. O pracach Tkaczyka nie śmiem nic mówić poza tym, że bardzo zgodnie sąsiadują z wierszami i często sprawiają wrażenie dobrze dodanej ilustracji, choć, oczywiście, nie było takiego zamierzenia. Czekamy na tomiki następne. Dodać jeszcze trzeba, że „Zasiew soczysty" nosi znak Lubelskiego Klubu Literackiego i ukazał się w ramach „Biblioteki „Kameny".

*) Józef W. Zięba: Zasiew soczysty, Ryszard Tkaczyk: Plastyka. Lublin 1965.

CECYLIA BŁOŃSKA

Wstrząsający dokument

„CZY w 20 lat po wojnie istnieją słuszne przesłanki po temu, ażeby powracać do przeżytych cierpień, rozdrapywać rany, wskrzeszać koszmar? Wydaje mi się, że tak", pisze doktor Józef Sohn-Sonecki *) we wstępie do swej książki pt. **„Byłem jeńcem Wehrmachtu"** wydanej ostatnio nakładem **„Czytelnika"**.

„Dziś — stwierdza — gdy nad Renem ciężkie buty żołnierskie dziarsko wybijają takt pod nową melodię i starą, jakże dobrze znaną komendę, gdy złowroga swastyka, przez pewien czas przyczajona, wyciąga szpony z ukrycia, a zmartwychwstały upiór niemieckiego faszyzmu nie obawia się już słońca i w jasny dzień jawnie zagraża światu, n i e w o l n o m i l c z e ć — t r z e b a w a l c z y ć! Słowo też jest bronią!

Jestem jednym z tych, którzy szczęśliwie ocaleli. Uważam za swój obowiązek — choć nie przeceniam wagi mych wspomnień — w imieniu tych wszystkich, którzy zginęli, którzy nie mogą przemówić, dać świadectwo p r a w d z i e. Przeżyłem i oskarżam"!

Jako kapitan-lekarz, zmobilizowany w Przemyślu w pamiętnym wrześniu, był jednym z setek tysięcy jeńców wojennych, którzy przeszedłszy przez zaleszczycką szosę, po zdradzie faszyzującego rządu rumuńskiego, dostali się w ręce Wehrmachtu.

Przez 3 lata pracował jako lekarz w stalagach dla jeńców radzieckich w Nadrenii. Straszliwe warunki ich życia w Herghausen, Steinebrucke, Arnoldsweiler, Hemar, służbowe wyjazdy do licznych fabryk, kopalni, komend, dostarczyły mu tragicznego i jakże wszechstronnego materiału z owych miejsc masowej zagłady, który zamyka w swych obszernych, ponad 370 stronic druku obejmujących wspomnieniach.

Czytelnika frapuje bogactwo wydarzeń, mnogość mniej na ogół znanych szczegółów. Historyk znajduje wierny zapis faktów: każdy z nich stanowił w i e l k i e o s k a r ż e n i e przeciwko zbrodniom hitlerowskiego ludobójstwa.

„Nie jestem literatem — zastrzega się dr Sohn-Sonecki — tylko skromnym lekarzem, więc mogłem jedynie rzeczowo opisać cierpienia i krzywdy moich współtowarzyszy i własne, ograniczając się do roli uczciwego świadka, który obiektywnie i sumiennie pragnie podać do wiadomości pewne mniej znane fakty".

Wysokie morale lekarza-społecznika, w młodości członka SDKPiL, w okresie międzywojennym zaangażowanego działacza PPS, zadecydowały o czynnej postawie autora. Sam dyskryminowany, prześladowany, nie waha się prowadzić walki o życie jeńców przeciwko morderczej, wyniszczającej machinie hitlerowskich funkcjonariuszy oflagów. Ze szczególnym wzruszeniem czyta się te fragmenty wspomnień, niesłychanie zresztą skromnie, oszczędnie i raczej marginesowo, ukazujących ten piękny czyn polskiego kapitana-lekarza.

Odżywają też na kartach książki, podzielonej na 9 rozdziałów, postaci współtowarzyszy niedoli, z którymi się zetknął, ludzi, jakich szczególnie polubił, wzbudzających tym bardziej gorącą z jego strony chęć pomocy, utrzymania przy życiu, które jako lekarz zawsze uważał za najwyższe dobro.

Po wojennej tułaczce, po okrutnych perypetiach sądowego „procesu" w Berlinie, dr Sonecki powrócił do rodzinnego Przemyśla, gdzie podjął pracę w zawodzie, działalność społeczną, pedagogiczną; w roku ubiegłym odznaczony został przez Radę Państwa Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Sędziwy autor (urodzony w r. 1886) nie uległ pokusom zasłużonego odpoczynku i wyichnienia należnego u schyłku życia. Jest jednym z tych, których fakt p r z e t r w a n i a zobowiązuje do czynnej walki o to, by okrucieństwo nowej wojny oddalać od ludzkości.

Jest też zapewne jednym z milionów, którym śnią się i przypominają ci, których kości rozsiane są po wszystkich krajach, gdzie postąpiła stopa hitlerowskiego żołdaka.

* Józef Sohn-Sonecki: „Byłem jeńcem Wehrmachtu", „Czytelnik" 1965, str. 371, cena 32 zł.

BAEDEKER literacki

STANISŁAW MARIA SALIŃSKI: POŻEGNANIE Z PACYFIKIEM. CZYTELNIK 1965.

Saliński, autor klasycznych „Opowieści morskich" (1928), to „Dziadzia" ze „Wspólnego pokoju" Z. Uniłowskiego i z filmu pod tymże tytułem, to przyjaciel Galczyńskiego i innych poetów z grupy „Kwadryga". Trwałe miejsce zdobył on sobie w marynistyce polskiej szeregiem po wojnie wydanych opowiadań i powieści jak np. „Hieroglify", „La Paloma", „Jedenasty list Camilli Colon" i inne. Saliński jest ponadto dziennikarzem i autorem popularnych w latach czterdziestych powieści obyczajowych (pod pseudonimem Jerzy Seweryn np. „Barbaro klamiesz"), najpełniej jednakże wypowiada się w książkach o morzu i o Dalekim Wschodzie, rozpoczętych „Opowieściami morskimi".

Jest on zresztą człowiekiem morza i to dalekiego morza od Chin po Władywostok. Jego pisarstwo marynistyczne łączy w sobie bogactwo dalekowschodniomorskich doświadczeń z poetyckim widzeniem morskiego świata. W „Opowieściach morskich" (które gdyby autor nic już nie napisał zapewniłyby mu w literaturze miejsce jako autorowi unius libri) i w innych książkach Salińskiego o morzu jest coś z Conrada i coś z Londona; jest w nich autentyczna poezja i własne indywidualne środki wyrazu artystycznego. Wydaje się, że Salińskiego, którego twórczość jest w pewnym sensie „towarem importowanym", powinno się „wysłać na eksport", tzn. udostępnić zagranicy w kilkujęzycznych przekładach. Jego książki nie mają nic z polskiego partykularza, są ogólnoludzkie, zrozumiałe wszędzie, gdzie o brzeg ocierają się fale jakiegokolwiek morza.

Ostatnia książka Salińskiego (miejmy nadzieję, że tylko ostatnio wydana), napisana zresztą przed laty, nawiązuje do tematyki „Opowieści morskich" i „Hieroglifów". Jest w niej — jak i tam — Daleki Wschód, Władywostok w latach tuż po rewolucji, „Dobrowolnyj Flot", Chińczycy i marynarze wielu nacji. Łącznikiem z „Opowieściami morskimi" jest tu opowiadanie pt. „Beniamin" — przedrukowane z trzeciego ich wydania. Dlatego też można powiedzieć, że „Pożegnanie" to dalsza część cyklu „Opowieści morskich", do których jako części osobne dodać też trzeba „Hieroglify" i „La Palomę" — te cztery książki to najczystszy ton pisarstwa Salińskiego, pisarstwa które urzeka i wciąga jak egzotyczny narkotyk, jak opium...

JERZY BOHDAN RYCHLIŃSKI: KULAWY BOSMAN. WYD. 3 CZYTELNIK 1965.

Rychliński jest drugim obok Salińskiego nestorem polskich marynistów. Jest on jednakże pisarzem zupełnie innego rodzaju. Podczas, gdy Salińskiego można by nazwać romantykiem morza — urzeczonym przez nie jak kiedyś Conrad — Rychlińskiego pociąga przede wszystkim egzotyka marynarskiej przygody. Jego utwory — tak chętnie czytane zarówno przez młodzież jak i dorosłych — mają w sobie coś z niezapomnianego od dzieciństwa czasów klimatu „Wyspy skarbów", „Złota z Porto Bello" i wielu innych rozkosznych pirackich awantur.

W po raz trzeci już wydanej opowieści pt. „Kulawy bosman" Rychliński łączy przygody piratów w walkach z hiszpańską Armadą z problematyką polskiego morza w okresie bitwy pod Oliwą. W powieści nie brak też spraw angielskich, a nawet muzułmańskich.

Te, tak zdawałoby się odległe sprawy i miejsca, bo akcja obejmuje obszar od Florydy do Gdańska, łączy tajemnicza postać głównego bohatera. Jest nim Smętek, wprowadzony w innej co prawda postaci do „Wiatru od morza", przypomniany potem przez Wańkowicza. U Rychlińskiego ten pomorski diabełek czuje po polsku choć jest istnym kosmopolitą (don Smenteco zowią go Hiszpanie). Jego niecodzienne i na pół prawdopodobne przygody są rdzeniem książki, ale nie wypełniają jej bez reszty.

Poza przygodowym kośćcem Rychliński wypełnia swoją książkę śmiało zakreślonymi szkicami, ustawiającymi przygody don Smenteca w realiach siedemnastowiecznych. Smętek Rychlińskiego to także historiozof z przypadku, wg. niego np. „Polacy mają to nieszczęście, iż albo swoje czasy wyprzedzają... albo fatalnie pozostają w tyle. Jak sobie pościelą — tak się wyśpią. Na długie, długie wieki przesądzą swój los. Ba, jeśli nie na zawsze.

ALEKSANDER ZIEMNY: MISJONARZE W JESIONKACH. ISKRY 1965.

Z rozwijającego się coraz obficiej pogranicza tzw. beletrystyki coraz większą karierę robią ostatnio reportaże, których zbiory coraz częściej ukazują się w formie książkowej. Z różnych rodzajów reportażu najbliższy niewątpliwie literaturze jest, oczywiście, reportaż literacki, do którego to gatunku należy sygnalizowany tu tom Aleksandra Ziemnego.

Reportaże te są bardzo różne: od obyczajowych, sądowych i „produkcyjnych" aż do kulturalnych, a nawet bibliofilskich. Reportażysta próbuje zanotować na gorąco wielorakość współczesności z dodatnim — trzeba przyznać — wynikiem.

Jego żywe i nieszablonowe reportaże są podciągane pod wspólny mianownik literackiego, prawie nowelistycznego miejscami ujęcia. Obwoluta autorska Tadeusza Michaluka przyciąga do książki oko — przyciąga nie na darmo.

B. K.

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pieśniarowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 2-34-49. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze, instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 3-6-100024 oraz „Ruch" Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unicka 4.

Zam. 2350 6.VII.65 H-4

Czas. 11049/32/13-14

KIELECKIE OSTY i chłosty

Klasycznie

Państwowe Liceum Technik Plastycznych w Kielcach należy do placówek, które potwierdzają starą zasadę, że im artysta ma trudniejsze warunki pracy, tym lepiej pracuje i łatwiej zdobywa sukcesy. Tego typu maksymę lansuje się jeszcze w naszym wojewódzkim mieście zupełnie serio w stosunku do artystów zawodowych i argumentem tym zwalczano bodajże rok temu pomysły o przydzielaniu plastykom mieszkań z pracowniami. „Jak artyście wygodnie — nie będzie geniuszem" — słyszałem (!). Ale wróćmy do Liceum, które wyszło kiedyś z suteren WDK, do obszerniejszych, ale barakowych pomieszczeń i jest jedną z najbardziej żenująco usytuowanych uczelni tego typu w całym kraju. Tymczasem prace uczniów, ich wspaniała ceramika i tkaniny zdobyły dla Kielc rozgłos nawet za granicą na wystawie w Paryżu. Profesorowie francuscy, egipscy i włoscy chcieliby poznać metody pracy tej szkoły, ale nie mogą jej odwiedzić, bo Ministerstwo... wstydzi się przystać „zagranicznika" do Kielc! Jak się okazuje — dopiero za kilka lat (jeśli dobrze pójdzie), Liceum uzyska nowe godne lokum.

Nietakt

Dobrym pomysłem, sądzić należało, było zakupienie dla gości i organizatorów Motocrossowych Mistrzostw Świata w Kielcach występu świetnej pieśniarki bluesów i ballad amerykańskich Judith Collins. Wiadomo — publiczność internacjonalna łatwo zrozumie „produkcje" w języku, którego może poduczyła się w trakcie wyjazdów na tego typu zawody. Występ był bardzo dobry, solistka opanowała i zdobyła z łatwością publiczność w wielkiej Hali Widowiskowo-Sportowej. Było tak jednakże tylko do przerwy, bo w czasie 15 minutowej pauzy — goście i organizatorzy tłumnie opuścili halę, by udać się, zgodnie z harmonogramem dnia... na kolację! Pieśniarka oraz towarzyszące jej trio mężnie zniosła pustki na całym parterze i choć nieco skróciła program dobrnęła do końca! W związku z tym zdarzeniem, autor tej rubryki, jako jedna z niewielu osób, która musiała się rumienić za motorowych sportowców — pragnie przypomnieć, że trzeba doceniać nie tylko dwutakt i czterotakt, warto także pomyśleć czasem o czymś, co zwyczajnie nazywa się... t a k t!

R. Pod.

Odpowiedzi Redakcji

W. M. w Warszawie. Może Pan ma krótsze utwory? Gotowi jesteśmy udostępnić Panu debiut, bo w wierszu „Wysychanie studni" są niezłe fragmenty.

H. M. F. we Wrocławiu i J. J. w Ustrzykach Dolnych. Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy. Prosimy po pewnym czasie przysłać większy wybór.

W. S. w Radomiu. Pisze Pan w wierszu: „Kochajmy się więc w czerwcu... owoce będziemy zbierać jesienią". Ejże? Nie skorzystamy.

Z. A. w Warszawie. Opowiastka o klubokawiarniach „Ruchu" b. słaba.

E. G. w Rzeszowie, S. P. w Suchowoli, J. K. w Łodzi, R. W. i S. R. w Elblągu. Zatrzymujemy w tece redakcyjnej.

M. M. w Zalesiu Górnym. Najlepszy „Mrok", ale na debiut musi Pan jeszcze trochę poczekać.

B. G. w Rzochowie. Radzimy dalej pracować.

M. T. w Lublinie. Miejsce w „Kamenie" może by się i znalazło, ale nadesłany utwór („Z Legendą przez Lublin") więcej niż słaby.

S. M. w Białymstoku. Jeden z Pana wierszy prawdopodobnie zamieścimy. Proszę nam coś napisać o sobie. Czy Pan już gdzieś drukował?

A. N. w Warszawie. Nie skorzystamy.

J. S. w Bielsku-Białej. Prosimy o większy wybór. Na podstawie tych trzech utworów trudno wydać jakąś opinię.

S. N. w Gdyni. Temat ciekawy, ale lepsza byłaby już relacja reporterska. W materiale za dużo frazesów i zwrotów, które dzisiaj nie straszą nawet w publicystyce. Przypominamy, że nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Moglibyśmy zbankrutować na opłatach pocztowych!

„Jan Kęsa" w Białymstoku, A. N. w Bartnikach, J. K. w Starachowicach. Nie skorzystamy.

* * *

UWAGA UCZESTNICY KONKURSU!

Jury nie zakończyło jeszcze prac. Ponieważ w konkursie uczestniczyła młodzież szkolna i akademicka — wyniki ogłosimy we wrześniu, po rozpoczęciu nauki.

*

Następny numer „Kameny" ukaże się ok. 20 sierpnia.

Sprostowanie

W poprzednim numerze „Kameny" omyłkowo podaliśmy zły numer pisma. Był to numer 12 (322) a nie 13 (323). Tych Czytelników, którzy kompletują „Kamenę" i biblioteki, prosimy o wycięcie zamieszczonej niżej prawidłowej numeracji poprzedniego n-ru „Kameny" i naklejenie jej na miejscu błędnego numeru.

Nr 12 (322)

DOKTOR B. był postacią renesansową. Właściwie trudno jest naszkicować jego sylwetkę w niedużym opowiadaniu, które ma specyficzny cel na widoku. Rolę tę spełnić może obszerna monografia — duży esej a jeszcze lepiej powieść biograficzna.

Wielostronność zainteresowań wypływała z zachłanności umysłowej i wielkiego temperamentu życiowego. Motorem wszechstronnej i rzetelnie pogłębianej wiedzy medycznej był talent diagnostyczny, który wyrażał się wielką zdolnością wyczuwania. Genialna niemal intuicja pozwalała mu bez pomocy medycyny laboratoryjnej — tak modnej dzisiaj — określać źródła choroby. Słynął jako wspaniały diagnosta, do którego często z daleka przyjeżdżano po poradę.

Obok medycyny pasją doktora B. były i sprawy społeczne, kulturalne i artystyczne. Kochał muzykę. Sam grał dobrze na fortepianie. Jego duży esej o Chopinie, wydany w Lublinie, jest dowodem utalentowanego pisarstwa i zrozumienia muzyki.

Był prekursorem wielu poczynań, społecznych i kulturalnych, wielu akcji, które i dziś mają wyraz mimo upływu lat.

Nic dziwnego, że przy tak czynnym trybie życia powstawały sytuacje, w których rodziły się anegdoty. Sprzyjały im pewne cechy charakteru doktora często przejawiające się jako dziwactwa. Tak przynajmniej klasyfikowało je otoczenie, które doktora B. uważało — według określeń ówczesnych — za oryginała.

W pewnym sensie był on jakby odwrotnością sławnego Franca Fiszera — pożywką dla ludzi mających poczucie humoru i cięte języki.

Toteż do dziś jeszcze starsze pokolenie ma w zapasie dziesiątki anegdot i dykteryjek, które o nim opowiada.

Z Francem Fiszerem miał jedną wspólną cechę — wielkie zainteresowanie sprawami kulinarnymi. Jadł, i to w dużych ilościach, nie tylko z potrzeby zwykłej ale i z wykształconego smakoszostwa, które nabierało charakteru wirtuozerii. Jadł dużo a nawet bardzo dużo — tak że niektórzy uważali go za żarłoka. Ale niewątpliwie był to żarłok — artysta. Cieszył się znakomitym zdrowiem. Jego narządy trawienne funkcjonowały doskonale. Nie zawodziły go nigdy. Do ostatniej chwili (a umarł mając osiemdziesiąt kilka lat) pracowały wzorowo.

Z panem Józefem R. często wspominaliśmy go. Jako właściciel wielkiego i świetnie prowadzonego sklepu kolonialnego, zaopatrywał on śpiżarnię doktora zarówno w surowce, jak i w gotowe wyroby garmażeryjne. W trakcie jednej z rozmów przypomnieliśmy sobie o niezwykłym wyczynie kulinarnym dokonanym jeszcze przed pierwszą wojną światową.

Doktór B. wydawał za mąż córkę. Uroczystość weselna miała się odbyć w ścisłym gronie rodzinnym i najbliższych przyjaciół.

Po ślubie, który odbył się w kościele, katedralnym w godzinach popołudniowych, całe grono miało przyjechać na obiad.

Doktór B., znany ze swych wolteriańskich przekonań, był sceptykiem i do kościoła nie pojechał. Aby skrócić sobie czas oczekiwania, zaczął spożywać zakąski i przystawki, które przygotowano jako wstęp do obiadu. Ponieważ do stołu zasiąść miało dwadzieścia kilka osób, przygotowano ponad sto kanapek różnych, dwa duże półmiski ryb w auszpiku, pasztet z gęsich wątróbek, łososia w majonezie, indyka na zimno, trzy duże salaterki różnorodnych sałatek i kilka odmian sosów. Do tego odpowiednie napoje.

Doktór B., jedząc, często wpadał w zamyślenie, tak jakby czynność jedzenia stawała się katalizatorem, wywołującym napływ myśli. W tym stanie wypowiadał jakieś oderwane słowa i krótkie zdania, a rozmowę tę z samym sobą ilustrował żywymi gestami. Zdawałoby się, że rozwiązuje jakiś skomplikowany problem umysłowy, w który wkłada dużo wysiłku, a jedzenie jest tylko czynnością uboczną. I być może, tak było. A intensywności myślenia towarzyszyła intensywność czynności ubocznej... Musiała być duża, bo gdy orszak weselny po paru godzinach wrócił z kościoła, a uczestnicy jego z wyraźnie zaostrzonym apetytem ruszyli drużynowo do przystawek i przekąsek, okazało się, że z dużego ich zestawu pozostały tylko mizerne resztki, które nie byłyby w stanie zaspokoić apetytu nawet jednego uczestnika uczty weselnej!

Najbardziej był zdziwiony doktór B, który ocknął się z transu zamyślenia i oświadczył, że nie wie, jak to się stało. Widocznie za mało przygotowano wiktuałów, bo on nie czuje się zbytnio napełniony i chętnie by zjadł coś nie coś na gorąco...

W. G.

NOTY

„USTNA JAMA". Przed kilkoma laty Anna Kamieńska zamieciła (boda) w „Nowej Kulturze") artykuł, w którym oburzała się na grafomanię ówczesnych autorów piosenek. Od tego czasu nic się pod tym względem nie zmieniło, a jeśli, to raczej na gorsze. Przerażenie ogarnia, gdy się czyta przytoczone przez Stanisława Grochowiaka w 27 — n-rze „Kultury" teksty piosenek śpiewanych na Festiwalu w Opolu, z których jeden został nawet przez jury wyróżniony. Ta „ustna jama", ten „aksamit wars", te rymy „że, cię, mnie się" itd., „czy, otwarte drzwi, by" — choćby nawet niby potraktowane ironicznie — to wszystko granieczy ze skandalem! Grochowiak po stokroć ma rację, gdy nie ukrywa nazwisk autorów tej grafomanii. Idzie bowiem o poczucie odpowiedzialności za słowo. Nic przecież nie przyjmuje się tak łatwo i nie popularyzuje jak piosenka. A „teksty piosenek — stwierdza Grochowiak — bywają niekiedy jedynym źródłem „ludowej mądrości", skarbnicą potocznych aforyzmów, podręcznikiem flirtu, a co dalej idzie: kultury i sposobu bycia". Słuchamy nieraz piosenek radzieckich, bywają czasem banalne, ale zawsze owiane liryzmem i nigdy głupie. Dlaczego u nas jest inaczej? A mamy przecież tylu dobrych poetów...

ZNANY POETA używa na łamach „Życia Literackiego" — wprawdzie w rubryce „Korespondencja" — zwrotu: „Wystawa... miała miejsce". I my znaleźliśmy miejsce na wytknięcie tego popularnego przykładu zachwaszczania mowy polskiej.

„POLITYKA" podała w n-rze 28, że w uroczystościach odsłonięcia pomnika w hitlerowskim obozie zagłady — Sobiborze brał udział przywódca powstania, oficer Armii Radzieckiej, Aleksander Peczorski. Bynajmniej tego dnia w Sobiborze; Peczorski nie przyjechał. A więc dezinformacja.

W „KURIERZE SZCZECIŃSKIM" znaleźliśmy znamienną informację. Otóż w połowie czerwca na szczecińskim rynku spotywczym dało się odczuć niekorzystne zjawisko pogorszenia się zaopatrzenia w tak podstawowe artykuły jak: ziemniaki, produkty mleczarskie a częściowo także i w mięso. Dla ustalenia przyczyn i osób winnych zaniedbań — czytajmy, czytajmy! — przy Komitecie Branżowym Handlu powołana została specjalna komisja. Materiały Komitetu rozpatrzy Egzekutywa Komitetu Miejskiego PZPR. Osoby z kierownictwa przedsiębiorstw handlowych, winne zaniedbań zostaną pociągnięte do odpowiedzialności służbowo administracyjnej i partyjnej. Prasa szczecińska poda ich nazwiska!

Brawo! KM PZPR w Szczecinie dał dobry przykład. Kiedy bezskutecznie szukamy w Lublinie, wędrując od sklepu do sklepu, towarów, które z łatwością można np. nabyć w Warszawie, myślimy, że szczeciński przykład można by z powodzeniem przenieść na nasze podwórko.

W zastępstwie
Maj

Nowe lecznictwo przyrodne

Napisał

F. E. Bilz

nauczyciel lecznictwa przyrodnego, właściciel lecznicy przyrodnej Bilza.

Wody picie

KAŻDY człowiek powinien się kilka razy na dzień wody napić, człowiek nie pijący wody równa się wozom nie smarowanym.(...)

Najlepszym doradcą chorego jest instynkt, jeżeli więc natura wody żąda, wtenczas trzeba jadać.(...)

Że woda i pewną posiada wartość pożywną, jest rzeczą dowiedzioną, bo jak to doświadczenia okazały, tak ludzie jako też zwierzęta mogą daleko dłużej bez pokarmu żyć, jeżeli dostatecznie wody piją, niż jeżeli żadnej nie piją.

(...) Dr Mc. Nanghton opowiada o szalonym z powodów religijnych, który tylko o wodzie 53 dni żył. Pierwsze 6 tygodnie wychodził co dzień, a czasami przebywał wielką część dnia w lasach. Chód jego był silnym i mocnym, a krok nadzwyczaj elastycznym. Golił się jeszcze tydzień przed śmiercią i mógł aż do ostatniego dnia prosto w łóżku siedzieć. Opowiada się także o człowieku jakimś w Leyden, który twierdził, że można tak samo długo pościć, jak Pan Jezus, i rzeczywiście wytrzymał 40 dni bez jadła, pił tylko wodę i palił tabakę, ostatni nałóg szkodził mu naturalnie tylko, rozweselając chyba tylko jego umysł. Dr Edmonson opowiada o 85-letnim człowieku, który bez jadła i tylko wodę pijąc, 43 dni i 5 godzin żył.

Ubodzy, którzy często z głodem walczyć muszą poznali w wodzie znakomity środek, aby złośliwemu temu gościowi opór stawić. Stary pisarz o wodzie, J. Smith, słyszał razu pewnego ubogą kobietę, skarżącą się, że często 2 lub 3 dni nic nie jadła, a na jej zapytanie, czy jej nie było w żołądku bardzo nieswojo, odpowiedziała, że w piciu wody wreszcie środek znalazła, który głód jej uśmierza.

„Jako dowód pożyteczności kąpieli we więzieniach", pisze Howard „mogę przytoczyć, że więźnie, o których mniemano, że na gorączkę więzienną (typhus gravior) albo tyfus złośliwy umarli i którzy już gotowi do pogrzebu stali, przy zmyciu zimną wodą znaki życia dawali i krótko potem wyzdrowieli". O podobnych przypadkach podaje Howard jeszcze dalsze wzmianki. Gdy w Turcyi przebywał, pokazano mu w jednem z więzień młodego człowieka, który tak silną otrzymał bastonadę, że ciało jego od stóp aż do głowy w najokropniejszy sposób napuchło. Prosił ludzi, aby go w zimnej wodzie wykąpano, a to i kilka innych pojedynczych środków, jako ta chłodna dyeta, spowodowała nadspodziewanie jego wyzdrowienie.

„Z roku dżumnego 1665", opowiada dr Baynard, „donosi się, że pewien parobek piwowarski w Southwark dżumą tą dotknięty w swej gorączce do stawu końskiego pospieszył, tamże się porządnie napił i z głową na brzegu zasnął, gdzie go z rana znaleziono. Jak długo we wodzie przeleżał, nie wiedział nikt, bo się w nocy oddalił, kiedy żadnego nie było przy nim stróża, ale wyzdrowiał zupełnie".

W starem angielskiem dziele o wodzie, napisanym mniej więcej przed 150 laty przez dr Baynarda, znajduje się kilka dziwnych kuracyi za pomocą wody. Przytoczę tu z nich drobnostkę:

„Turek pewien (służący jakiegoś pana) zachorował na gorączkę, lekarze leczyli go plastrami ciągnącymi i gałeczkami lekarstw, które go prawie do szaleństwa doprowadziły. Rodak, który go odwiedził, widział go w szalejącym stanie, ale nie mówiwszy nic powrócił w nocy z drugim rodakiem i obaj wynieśli chorego nad Tamizę i tam zanurzyli go porządnie. Chłopak powrócił do domu, położył się do łóżka i był drugiego dnia zupełnie zdrów. Historię tę poświadczyło kilku zacnych panów, a ja nie powątpiewam o niej, lecz mam ją za bardzo prawdopodobną, bo cenię wodę z Tamizy wyżej, niż wszystkie pigułki, korzonki żmijne i leczenie gorące, które krew zapala i wzburza, jego ciałka łamie i człowieka niszczy. A wtenczas zmyka doktór jak pies, który ogon swój stracił, i twierdzi, że to jest dżumma, złośliwa gorączka, której nikt wyleczyć nie może, i aby swą staranność dla drugich okazać każe okna otwierać, łóżę przewietrzyć i pokoje z obawy przed zakażeniem kadzić. Jeżeli jest istoty prawdziwej, skemlącej, obłudnej, uważanej, wtenczas zakończa piosenką żałobną, psalmem lub modlitwą o zachowanie reszty rodziny".

Proboszcz Kneipp mówi: „Pij, skoro pragniesz, lecz nie pij nigdy za wiele". Przytem nadmieniamy tu zaraz, że proboszcz Kneipp sam bardzo miernie pił, udowadnia on to w oryginalny swój sposób: „Wino jest mi za drogie, piwo za liche, a woda za mokra".

Na góry stąpanie

Wskutek częstszego stąpania na góry stają się nie tylko mięśnie nóg sprężystszemi i silniejszemi, ale i mięśnie piersi i serca wzmacniają się. Stąpając na góry trzeba głęboko wdychać i wydychać. Na wierzchołku góry trzeba się trudnić gimnastyką oddechową.

Lecz napomknąć muszę, że nie powinno się ciała obciskać ciasną odzieżą jako też sznurówką itd.

Kto przy stąpaniu na góry bicia serca dostaje, musi od czasu do czasu przystanąć... Wogóle powinni osoby cierpiące na słabość serca... bardzo ostrożnemi być, i nie powinni mianowicie w pierwszym czasie za wiele w siebie ufać. Najprzód powinni tylko na małe pochyłości wstępować i tylko krótki czas, i niechaj dopiero powoli przechodzą do większych i dłuższych pochyłości.

!

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

ROK 1 Lipiec 1965 Nr 1

Sylwetki naszych twórców

Józef Kapuściński

(W 70 rocznicę urodzin)

„Poeta ci jestem, poeta ludowy,
Piosenka moja prosta, pastusza,
Natchnieniem moim ten zagon płowy,
Cichy szum łanów i polna grusza."

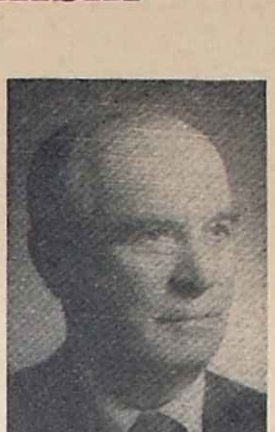

Tak pisze o sobie jeden z najstarszych współczesnych poetów ludowych w Polsce — Józef Kapuściński z Przemyśla. Urodzony 2 lipca 1895 roku w Lipnikach całe życie poświęcił działalności społecznej i pisaniu. Debiutował w roku 1910. Od tego czasu na łamach około 80 pism ukazało się około 500 jego wierszy, kilkadziesiąt opowiadań oraz kilkaset artykułów. Osobno wydał trzy zbiorki poezji: *Spod chłopskiego pióra* (1937), *Chaty w słońcu* (1937) i w ramach Lubelskiej Biblioteki Ludowej — *Niezapominajki* (1963). Wiersze jego weszły również do antologii *Wieś tworząca 1965*. W roku 1946 w opracowaniu Stanisława Pigonia i z jego obszernym wstępem ukazały się szkice Kapuścińskiego pt. *Cierniste ścieżki literatury ludowej*.

Dużo miejsca w publicystycznym dorobku poety zajmuje walka o nowe metody gospodarowania, o propagowanie idei spółdzielczości na wsi. Poeta nie tylko wzywał do czynu, ale i sam brał czynny udział w ruchu spółdzielczym, szczególnie jako organizator kas Stefczyka. Jeszcze na długo przed wojną na łamach „Młodej Polski" wzywał w artykule *Głos do braci* o większe zainteresowanie dla literatury ludowej. Proponował utworzenie *towarzystwa przyjaciół literatury ludowej, funduszu literackiej nagrody wsi* oraz *komitetu budowy pomnika na grób Ferdynanda Kurasia*. Rozumiał znaczenie literatury ludowej, umiał odkryć jej piękno i głębokie wartości ideowe, dlatego też na każdym kroku starał się popularyzować ją i upominać o należne jej miejsce. W artykule pt. *O literaturze ludowej* publikowanym na łamach *Wzorowej Zagrody* w roku 1938 pisał m. in. te słowa:

„Wieś polska czeka na nowe dzieło o swej twórczości. Czeka na to, aby przyjść do niej z sercem i duszą, bo wieś, jeśli idzie, to idzie z oddaniem i zaufaniem. Chłopska literatura, to fundament pod nową wielką literaturę odrodzonego narodu polskiego, to ton nowej ery w odrodzeniu duchowym narodu. Trzeba tę literaturę poznać, trzeba jej niejedno wybaczyć, trzeba wczuć się w jej rymy, w jej dźwięki, bo to dźwięk pługów i bron, szabel i kos, a w tym głosie jest wielki jeden akord, który serce każdego człowieka do czynu nastraja, zaś tym akordem jest najsłodszy każdemu chłopu wyraz „Ojczyzna".

Józef Kapuściński obchodzi jubileusz siedemdziesięciolecia urodzin. Wiele jego wierszy i artykułów, zwłaszcza tych pisanych przed rokiem 1939, w których walczył o nową Polskę straciło już na aktualności. Pozostały jednak nadal świeże i młode dzięki ogromnemu ładunkowi uczucia, sile wiary w zwycięstwo sprawiedliwości, ukochaniu polskiej ziemi, wyjątkowej wrażliwości na piękno wsi, której poeta pozostał wierny do dzisiaj. Nie zestarzała się też jego liryka. Jej powierzył wiele swoich marzeń i pozwolił przekazać w pięknej formie zachwyt dla piękna, które widzi w codziennej pracy na roli, w krajobrazie zielonych pól i słomianych strzech. Świadomy roli „pieśniarza gminnego" umiał trafić do swych słuchaczy, zdobyć szacunek i popularność. Nic też dziwnego, że po wojnie w uznaniu jego zasług Związek Literatów Polskich nadał mu tytuł członka. Mało jest dziś pisarzy, którzy mieliby prawo powiedzieć za Kapuścińskim słowa, które można byłoby odnieść do ich twórczości:

Nie zagłuszy chłopskiej pieśni
wichr, co targa bór,
ani morza szum daleki,
ani orkan z gór.

Roman Rosiak

(Wiersze Józefa Kapuścińskiego drukujemy na str. 2)

IGNACY ANTOSZ

Otworzę wejście

Otworzę wejście
do mej izby,
niechaj jej słońce
wieniec utka,
niechaj przyniesie
w me mieszkanie
melodie srebrnych
strun z podwórka.
Blask padł na ściany
z prostych tarcic —
na dzieci w błogi
sen złożone,
na zwykłą szarość
trudnej pracy
i cierpki uśmiech
mojej żony.

Kotomierz, pow. Bydgoszcz

„Spod strzechy"

Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych, powołany do życia na Zjeździe w Lublinie w maju br., rozpoczął działalność od nakreślenia planu pracy na rok 1965. Za najpilniejszą uznano sprawę weryfikacji członków, której zakończenie przewiduje się w jesieni. Na pierwszym posiedzeniu Zarządu Klubu, w czerwcu, przyjęto 44 pisarzy, którzy odpowiadali warunkom stawianym przez regulamin. Oczywiście, jest to dopiero początek akcji, w której ramach liczba członków Klubu niewątpliwie znacznie przekroczy 100, a w przyszłości i więcej osób.

Obecnie Klub dysponuje nazwiskami i dość znaczną (około 3000) liczbą utworów ponad 150 samorodnych twórców ze wszystkich województw naszego kraju. Prym wiedzie, jak dotąd, Lubelszczyzna — 45 pisarzy, dalej idą województwa: krakowskie — 14, gdańskie — 13, białostockie i kieleckie — po 12 oraz katowickie — 11. Tylko 3 regiony: koszaliński, łódzki i szczeciński mają po 1 przedstawicielu. Nie ulega wątpliwości, że w najbliższym czasie również i te dane ulegną korzystnym zmianom.

Poza weryfikacją plan pracy Klubu przewiduje na rok bieżący założenie kartoteki członków Klubu, jego kroniki, zorganizowanie 30 spotkań autorskich, przygotowanie i rozpoczęcie cyklu odczytów poświęconych literaturze ludowej poszczególnych regionów itp.

Dużo miejsca zajmują także sprawy związane z drukiem. I tak: obok antologii „Wieś Tworząca 1965", w której znalazły się utwory 25 pisarzy, trwają już końcowe prace nad selekcją materiału do „Wsi Tworzącej 1966". Tom ten po raz pierwszy ukaże dorobek kilkudziesięciu poetów reprezentujących całą Polskę. Dzięki inicjatywie i pomocy finansowej Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie, materiały ze Zjazdu ukażą się również w formie publikacji książkowej.

„Kamena" wprowadza stały dodatek poświęcony literaturze ludowej. Będzie się on ukazywać w najbliższym okresie raz na dwa miesiące. W ten sposób Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych otrzymuje szansę systematycznego publikowania najbardziej wartościowych utworów swych członków, informowania społeczeństwa o działalności Klubu, popularyzowania sylwetek „twórców spod strzechy" i literatury różnych regionów.

Oczekujemy na nawiązanie z nami kontaktu i nadsyłanie informacji, artykułów, wierszy i propozycji. Korespondencję prosimy kierować na adres: Roman Rosiak, Lublin, Al. Racławickie 23, blok 5 m. 18.

Regulamin

Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych

I. Nazwa, teren działania i siedziba Klubu

§ 1. Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych, zwany dalej Klubem został powołany na Międzywojewódzkim Zjeździe Pisarzy Ludowych, który obradował w Lublinie w dniach 17 i 19 maja 1965 r.

§ 2. Terenem działalności Klubu są cztery województwa Polski Wschodniej: białostockie, kieleckie lubelskie i rzeszowskie. Siedzibą Klubu jest Lublin.

§ 3. Klub działa w oparciu o regulamin zatwierdzony przez Wydział Kultury Prezydium WRN w Białymstoku, Kielcach, Lublinie i Rzeszowie.

II Cele Klubu i środki działania.

§ 1. Celem Klubu jest pielęgnowanie tradycji polskiego piśmiennictwa ludowego i rozwijanie go w nowych warunkach historycznych poprzez stosowanie różnych form opieki i popularyzacji najwartościowszych osiągnięć twórczości pisarzy ludowych.

§ 2. Do zadań Klubu należy w szczególności prowadzenie ewidencji pisarzy ludowych, organizacja spotkań autorskich, inicjowanie konkursów i wydawnictw, a także zbieranie i zabezpieczanie dorobku piśmiennictwa ludowego.

III. Członkowie Klubu, ich prawa i obowiązki.

§ 1. Członkowie Klubu dzielą się na rzeczywistych i wspierających:

a) Członkiem rzeczywistym może być każdy pisarz ludowy, zamieszkały w Polsce, który przedstawi Zarządowi Klubu — a Zarząd zaakceptuje — 10 utworów własnych — poezji, opowiadań lub gawęd.

b) Członkiem wspierającym może być osoba prawna lub fizyczna, która ma na celu chęć wspierania twórczości ludowej, przyjmie zasady niniejszego regulaminu i zostanie zaakceptowana przez Zarząd Klubu.

§ 2. Członek rzeczywisty Klubu ma prawo do posiadania legitymacji klubowej, uczestniczenia w Zjazdach i innych akcjach oraz imprezach organizowanych przez Klub, pierwszeństwo druku swoich utworów w antologii „Wieś Tworząca", w czasopismach i wydawnictwach indywidualnych.

§ 3. Członków przyjmuje Zarząd Klubu, a wyklucza Walny Zjazd.

§ 4. Członek ma prawo wybierać i być wybieranym do władz Klubu, godnie go reprezentować.

§ 5. Członek powinien społecznie działać na rzecz Klubu oraz stosować się do regulaminu i postanowień Zarządu.

IV. Organizacja i władze Klubu

§ 1. Władzami Klubu są: Walny Zjazd, Zarząd Klubu oraz Rada Społeczna.

§ 2. Najwyższą instancją decydującą o sprawach Klubu jest Walny Zjazd, który powinien się odbywać nie rzadziej niż co 2 lata.

§ 3. Zjazd powołuje Zarząd Klubu oraz Radę Społeczną, ustala ich skład i liczbę oraz główne kierunki działalności Klubu.

§ 4. W okresie między Zjazdami działalnością Klubu kieruje Zarząd, składający się z 5 osób, w tym przewodniczącego, jego zastępcy i sekretarza. Zarząd wybiera się co dwa lata na Walnym Zjeździe.

§ 5. Do najważniejszych kompetencji Zarządu należy:

a) przyjmowanie i zawieszanie członków Klubu, z tym, że decyzja ta powinna być konsultowana z Radą Społeczną,

b) organizowanie i inicjowanie działalności Klubu w ramach kierunków ustalonych na Zjeździe,

c) reprezentowanie Klubu na zewnątrz oraz ochrona interesów pisarzy ludowych.

§ 6. Organem doradczym i współorganizującym działalność Klubu jest Rada Społeczna, składająca się z przedstawicieli pisarzy ludowych, świata nauki i środowisk twórczych oraz przedstawicieli czynników społecznych i administracji kulturalnej. W okresie między Zjazdami Rada Społeczna może zostać w razie potrzeby uzupełniona o nowych członków decyzją Zarządu.

§ 7. Zadaniem Rady Społecznej jest wszechstronna, w tym również finansowa pomoc Klubowi w jego działalności, wymienionej w rozdziale II niniejszego regulaminu.

§ 8. Rada Społeczna jest czynnikiem doradczym; z jej składu zostaje wyłoniony sekretariat roboczy, funkcjonujący przy WDK w Lublinie — w siedzibie Klubu. Sekretariatem kieruje sekretarz — pracownik WDK w Lublinie, działający społecznie.

§ 9. Rada Społeczna zbiera się na posiedzeniach co najmniej 2 razy do roku.

V. Postanowienia końcowe

§ 1. Klub nie dysponuje żadnymi własnymi środkami finansowymi, korzysta z pomocy zainteresowanych wydziałów kultury rad narodowych oraz świadczeń innych instytucji patronujących.

§ 2. Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych podejmie inicjatywę w kierunku stworzenia analogicznych Międzywojewódzkich ewentualnie Wojewódzkich Klubów w innych regionach kraju, a w dalszej perspektywie utworzenia — w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki Ogólnopolskiego Klubu Pisarzy Ludowych.

§ 3. Zasadność postulatu sformułowanego w § 2 postanowień końcowych niniejszego regulaminu — wynika z konieczności otoczenia szczególną opieką pisarzy ludowych, którzy w warunkach Polski Ludowej mają szeroką możliwość tworzenia i wypowiadania swoich opinii — czego najpełniejszym dowodem jest ich obecność na organizacyjnym Zjeździe w Lublinie. Reprezentacja pisarzy ludowych z całego kraju świadczy o powszechności tego dążenia.

§ 4. Realizacja postanowień niniejszego zamierzenia, z powołaniem Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych łącznie — nosi charakter eksperymentu w skali ogólnopolskiej. Powołanie Klubu może stanowić cenny wkład w proces rozwijania i upowszechniania wartości kulturalnych naszego kraju.

§ 5. Pomyślne rezultaty niniejszego eksperymentu mogą przyczynić się również do ujęcia w zorganizowane ramy całej przebogatej twórczości ludowej, stanowiącej dorobek wielu pokoleń naszej Ojczyzny.

BRONISŁAW PIETRAK

Sołtysowa Maryś

(gwara)

Modlułem się w maju
Wiecór pod figuru,
Zebym sie łozeniuł
Z sołtysowu córu.
Modlułem sie w cyrwcu
Do Bozego Ciała,
Zeby mnie Maryśka
Za męza zechciała.
Wysłuchoł mnie Pan Bóg
I wszyscy anieli —
Maryś sie zgodziła,
Zebyśmy ślub wzieli.
Sołtys z sołtysowu
Zrobili wesele
I ślub ześmy wzieni
W miejscowym kościele.
Teraz Maryś lezy
Pod piezynu w łózku
I tylko casami
Kiwo na mnie nózku.
Lezy Maryś w łózku
A jo rano wstaje,
Marysi do łózka
Sniadanie podaje.
Ale sie nie gniwum,
Sum robie robote
I kocham Marysie,
Bo to takie złote.

Gutanów, pow. Puławy

JÓZEF BASSA

Nowoczesne małżeństwo

Wczoraj się pobrali.
Nockę razem spali.
Dziś śniadanie zjedli
I już się rozwiedli.

Nowy Folwark, pow. Chełm

HANKA NOWOBIELSKA

Głupota

Dałak ptoskowi z bułki okrusek,
dałak kotowi kromecke chleba,
— kotek sie łosił i grzecnie mrucoł,
a ptosek pieknie w ogródku śpiewoł.

Dałak pieskowi skórke po spyrce,
to chodzi za mną wiernie do dziśka —
— a clowiekowi kiek dała serce
to za głupotę mojom mnie wyśmioł...

Białka Tatrzańska pow. Nowy Targ

WILHELM PIWOWARCZYK

Gwiazdy maja

Czytając utwór „Plejady" Jarosława Iwaszkiewicza

Plejady? — Wiem, gwiazdozbiór to październikowy
I nad moim zapalił domem swoje ognie
Myśląc, żem na jesienne smutki już gotowy
I że, jak innych, moje biedne myśli pognie.

Promiennymi ślepiami w dach mój wbił się groźnie,
Przez szyby okien wgląda, rozchyla firanki.
Obiecał złote blaski mojej skąpej woźnie,
By wpuściła go w moje serce, świeżym rankiem.

Ale mu wciąż uparte przeciwstawiam wrótnie
I ani myślę pędzić w jego tuman dziki — —
Cóż mi zrobi wzrok Byka, choć patrzy okrutnie,
Gdy jestem wpięty w wonny Warkocz Bereniki...

Plejady? — Cóż, gwiazdozbiór jesienno-zimowy
Zadrżał złością, mgławicą otoczył swą postać —
Widząc, że nie uchylam przed nim twardej głowy,
Kosmiczną miotłą żaru — chciał mnie sprytnie dostać,

Alem się mu wywinął Lwa mając pod ręką,
A za forpocztę braci — Polluksa, Kastora...
Wiem — było jego rozpaczną udręką,
Że mnie nie może zdławić — ziemskiego potwora.

Więc wesołym śpiewaniem płuca me łomocą
I wiary pełen w nieba tajemne ogniki,
Do piersi roztęsknionej przyciskam wszech-mocą
Wonne sploty warkocza lubej Bereniki.

Zakopane

ALOJZY NAGEL

Kwitną róże

Kwitną róże,
kwitną zwónci —
o porénci
i skowrónci
śpiéwają...
Ach, spiéwają
o zwierzętach
o dzéwiętach,
o dzéwczętach,
co knóp zdradzół...
O garnérze,
chtëren sadzół...
O rëcérzu,
co zawadzół jego kóń —
Boże bróń! —
bo sę zabił
Pón i kóń...
Spiéwę tę
spiewół nóm
knóp obdzarty
i zażarty
na rëcerza,
chtëren wierzę
popsël — zepsël
żëcé
dzéwczëcu.

Gdańsk

JAN POCEK

przybiłem

gwiazdę przybiłem na belce
obok wypchanej sowy
by się darzyły mi wiersze
jak konie
owce
i krowy

gwiazdę przybiłem do belki
do najtwardszego sęka
by każdy mój wiersz —
nawet najmniejszy —
o wsi
pamiętał

gwiazdę przybiłem nad
drzwiami
gwiazdę z kawałkiem nieba
by
każdy mój wiersz
miłość i piękno śpiewał

Kaleń, pow. Puławy

JÓZEF KAPUŚCIŃSKI

Pragnienie

Chciałbym wam, ludzie, biedni, smutni
zagrać wesołą pieśń na lutni,
serca napełnić wam miłością
a oczy żywą wciąż radością.

Lecz nie mam lutni, tylko pióro,
papier bielutki, myśl ponurą,
bo to, co serce moje chowa,
nie da się zmienić w pieśni słowa.

Chciałbym świat cały w raj zamienić
a ludzkie dusze rozpromienić
wiarą wciąż żywą w własne siły,
lecz nie poruszę zwątpień bryły.

Chciałbym zamienić trawy z łąki
na śpiewające wciąż skowronki,
by zamiast trwogi chmur w przestworzu
była pogoda, jak chabry w zbożu.

I chciałbym wszystkie proste słowa
zamienić w perły — by wciąż nowa
piękność i siła świat objęła,
by nowa era się zaczęła.

Chciałbym, ach chciałbym, lecz pragnienie —
to tylko zbożne me natchnienie,
bo każdy człowiek ma w swej duszy
zarzewie piekła, żar katuszy.

Chciałbym, ach chciałbym — próżno marzyć,
bym świat ten szczęściem mógł obdarzyć,
gdy brak jest w ludzkich piersiach ciszy,
więc tylko bicie serca słyszę.

I wciąż pragnienie, by do syta
mieć w swoim sercu pieśń zachwytu
a w swojej duszy tyle zorzy,
bym mógł choć piękny wiersz ułożyć.

Nie wrzucę...

Nie wrzucę już ziarna do ziemi,
Na nowy chlebowy plon —
Nie stanę w swym domu nogami swoimi
Nim przyjdzie zgon.

Bo ziemia mych ojców daleko,
A przestrzeń taka bliska,
Że widzi ją moje stęsknione oko,
Gdy płoną jesienne ogniska.

Przeszły już lata nadziei i wzlotów,
I młodość życia z wiosną,
Jam tylko w jedną iść drogę dziś gotów,
Z liśćmi, które w jesieni poschną...

Ni ognia zapału, ni iskry nadziei,
Na podróż przyszłości długą...
Po latach burzy, krwawych zawiei
Jam losu marnego jest sługą...

Przemyśl

MIĘDZYWOJEWÓDZKI KLUB PISARZY LUDOWYCH
Lublin

WDK Zamek, telef. 242-07.

Zarząd Klubu:

Przewodniczący — BRONISŁAW PIETRAK, Gutanów, pow. Puławy, woj. lubelskie,

Wiceprzewodniczący — PIOTR KRZYKALSKI, Nowy Sącz, ul. Węgierska 68,

Wiceprzewodniczący — JAN POCEK, Kaleń, pow. Puławy, woj. lubelskie,

Sekretarz — STANISŁAW WEREMCZUK, Lublin, WDK Zamek, tel. 242-07,

Sekretarz — ROMAN ROSIAK, Lublin, Al. Racławickie 23, blok 5 m. 18, tel. 282-08,

Korespondencję i materiały należy przesyłać na adres Klubu, bądź też przekazywać członkom Zarządu.

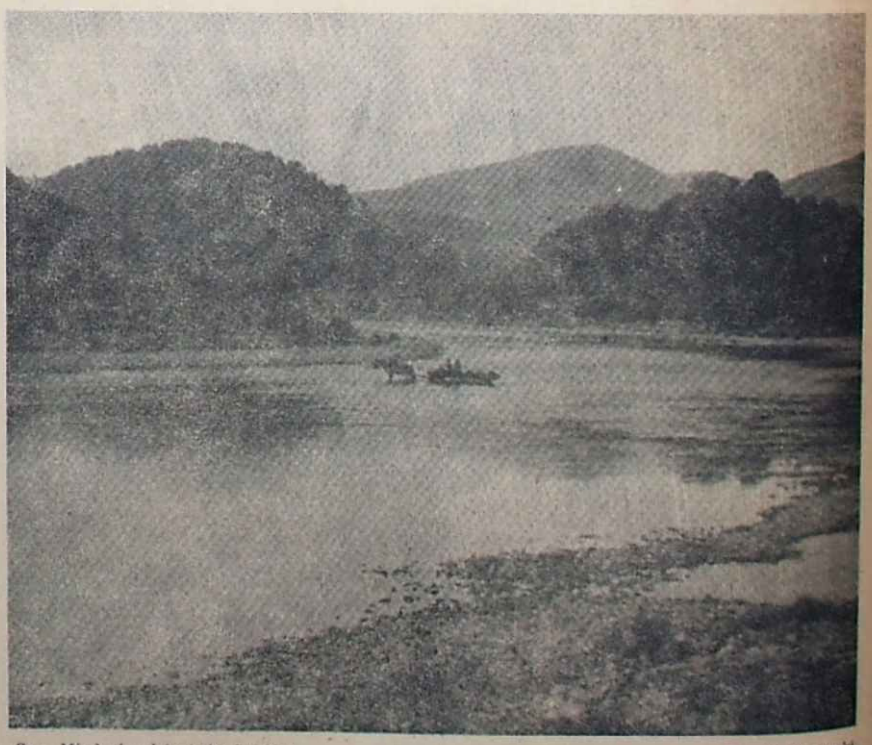

San. Międzybrodzie koło Sanoka. *Fot. Z. Postępski*